Tomasz Łychowski

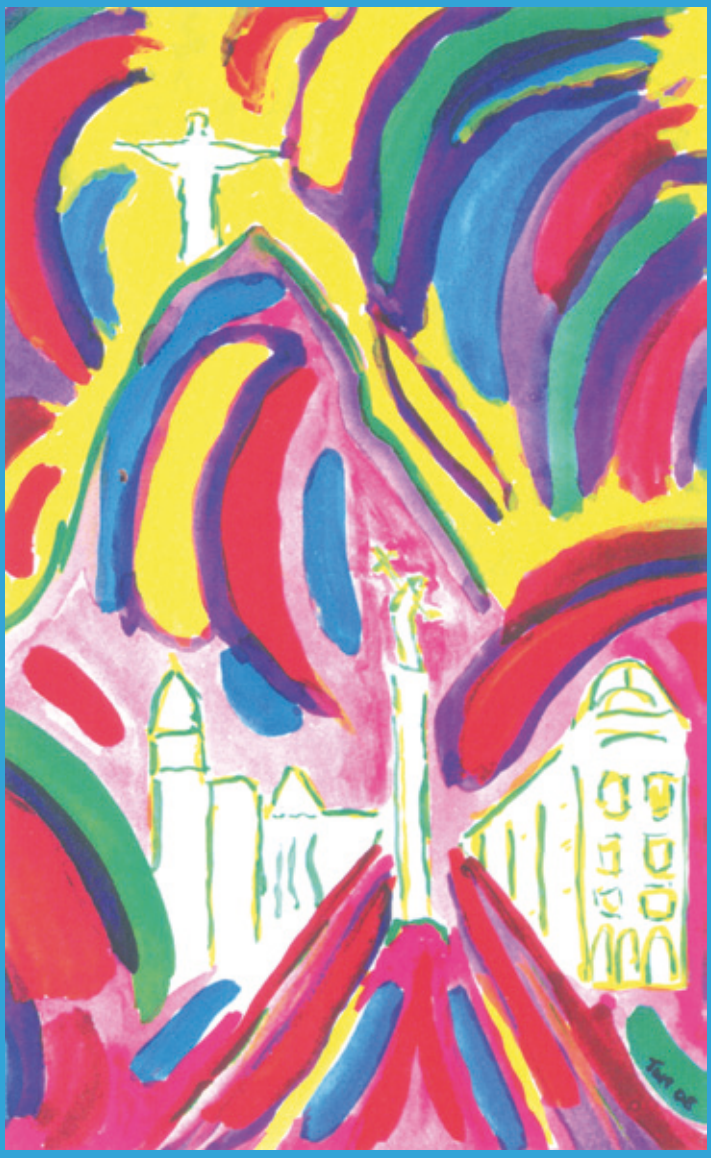

MOJA DROGA NA KSIĘŻYC

Tomasz Łychowski

MOJA DROGA NA KSIĘŻYC

Warszawa 2022

© Copyright by Tomasz Łychowski
© Copyright by Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich UW, Warszawa 2022

Wszystkie zdjęcia zamieszczone w książce pochodzą z archiwum domowego Autora.

Redakcja: Anna Jamrozek-Sowa

Korekta: Anna Dworak

Skład, łamanie: Bartosz Mielnikow

Zdjęcie autora na okładce: Aleksandra Pluta

Obraz na okładce: Tomasz Łychowski „Chrystusy z Rio i Warszawy"

Druk i oprawa: Sowa Druk – sowadruk.pl

Konsulat Generalny
Rzeczypospolitej Polskiej
w Kurytybie

Ze wsparciem Konsulatu Generalnego RP w Kurytybie

Apoio: Consulado Geral da República da Polônia em Curitiba

Wydawcy
Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego
al. Wilanowska 204, 02-730 Warszawa; tel./fax (22) 843 38 76, (22) 843 78 73
e-mail: j.mazurek@mhprl.pl; www.mhprl.pl
ISBN 978-83-7901-398-2

Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich UW
ul. Oboźna 8, 00-927 Warszawa; tel. (22) 552 04 29; tel./fax (22) 828 29 62
e-mail: iber@uw.edu.pl; iberystyka-uw.home.pl
ISBN 978-83-66901-56-8

Spis treści

Powidoki 7

1 Quissala 11
2 Niemcy 17
3 Mãe Quinhas I 19
4 Angola 19
5 Wojna 21
6 Nasi starsi bracia i siostry 29
7 Pawiak 33
8 Dygresja II 35
9 „Módl się!” 37
10 Łączniczka AK 38
11 Przed wyjazdem do Niemiec 38
12 W Niemczech 44
13 Antwerpia 49
14 Z powrotem do Niemiec 52
15 „Charlton Sovereign” 54
16 Fazenda do Secretário 56
17 Wybory 59
18 Mãe Quinhas II 65
19 Pierwsze zatrudnienie 66
20 Przyjaciele 67
21 Świetliki 69
22 Werther 77
23 Krysia I 82
24 „Ojcze Święty!” 88
25 Krysia II 89
26 Bocaina 93
27 Nauka 95
28 Polityka... 99
29 „Tomaszu, bądź wierny!” 100
30 Polityka II 101

31 IDEC I 104
32 Pauza 106
33 IDEC II 107
34 Italia 109
35 IDEC III 110
36 Opus Dei 111
37 O mały włos 113
38 Jeden *versus* jeden 118
39 Nauczanie 120
40 Polonia 125
41 Maria Tarnowska 131
42 Obchody 132
43 Nieporozumienia 133
44 Józef Czapski 134
45 Nadzieja 135
46 *Pierścień wielkiej Damy* 136
47 Mosty 136
48 Braspol 142
49 Brazylijski Instytut Kultury Polskiej 143
50 Polska – Brazylia 144
51 Mój Parnas 147
52 Malarstwo 155
53 Konsulat w Rio de Janeiro 157
54 Poezja i malarstwo 158
55 *Ite ad Ioseph* 160
56 Dialog międzyreligijny 162
57 *El hombre es un caminante* 163
58 Polak, Brazylijczyk czy Angolczyk? 168
59 Teraz: jutro 169
60 Wolność 171
61 *Na srebrnym globie* 172
62 Skrzydła 173
63 POSTSCRIPTUM 180
64 Ukraina 188

Powidoki

W 2022 roku, naznaczonym doświadczeniami kolejnych fal pandemii, trwającej od ponad pół roku wojny w najechanej przez rosyjskie wojska Ukrainie, exodusu uchodźców przekraczających polską granicę, w Warszawie ukazuje się drugie, poszerzone i zmienione wydanie wspomnień Tomasz Łychowskiego, drugowojennego uchodźcy z Europy, od 1949 roku mieszkającego w Brazylii. Pierwsza edycja memuaru trafiła do rąk polskiego czytelnika dwanaście lat temu. W tym samym 2010 roku w Rio de Janeiro ukazała się nakładem Letra Capital Editora przygotowana przez autora wersja portugalskojęzyczna *Meu caminho para a lua. Como sobrevivi à* II *Guerra Mundial*, dwa lata później – anglojęzyczna *My way to the Moon. How I survived* WWII.

Biografia Tomasza Łychowskiego, podobnie jak biografie wielu innych migrantów, jest zaskakująca, niezwyczajna. Z jej materii autor, zainspirowany prośbą syna Rafaela, najmłodszego z czworga dzieci, ukształtował opowieść o swojej wielokulturowej tożsamości. Książka przyjmuje postać ciągu asocjacji, epizodów, fragmentów. Łychowski tworzy „witraż", „album", „układankę", które to określenia najtrafniej chyba oddają istotę konstrukcji

dzieła. W narrację o sobie wplata opowieści i dygresje, najczęściej uporządkowane chronologicznie, dotyczące jego najbliższych, grona przyjaciół i znajomych, ludzi niezwyczajnych, których wielu spotkał na swojej drodze, miejsc autobiograficznych, aktywności zawodowej, polonijnej, politycznej i artystycznej.

W trudnym czasie destabilizacji naszej niedawnej pewności bezpiecznego życia na bezpiecznej planecie lektura wspomnień „wędrowca międzykontynentalnego" może ujawnić pokrzepiającą moc.

Anna Jamrozek-Sowa

3 x Teraz:
wczoraj – dzisiaj – jutro

Apud św. Augustyn

Tato legionista

Mama w wieku 17 lat
w Chorinchen

Mama (na ramionach cioci Marty – z prawej na lewo druga)
na wakacjach w Bad Kolberg

– 1 –

Quissala

Rok 1934. Na fermie Quissala nieco oddalonej od miasta Nova Lisboa (obecnie Huambo) w Angoli, Afryce Portugalskiej, kilkumiesięczne niemowlę walczy o życie. Lekarz stwierdza, że może je tylko uratować natychmiastowa transfuzja krwi. W tych ryzykownych warunkach medycznych bezpośrednia transfuzja krwi mego ojca dokonała – z Bożej łaski – cudu, dzięki któremu mogę dziś mówić o wydarzeniach w tak odległej perspektywie.

Plantacja kawy mego taty jakoś nie bardzo prosperowała. Kawa podobno była bardzo dobra – *Mokka*, szlachetny gatunek wywodzący się z *Coffea arabica* – i pewnie dlatego do dziś aromat parzonej kawy mnie uwodzi. No, ale teraz w Brazylii dobrej kawy też nie brak. Codziennie popijamy to nasze słynne *cafezinho*, czyli małą czarną, w dużych ilościach.

Wydaje mi się, że mój ojciec nie miał drygu do interesów. Był urodzonym żołnierzem: od wczesnej młodości należał do POW, był w Legionach, walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, w kampanii wrześniowej w 1939 roku i działał w AK. Ojczyźnie poświęcił szczytowe momenty swojego życia.

Łychowski Tadeusz
kapitan art.
K-da P.O.C.
Paderborn

Paderborn, 18 listopada 1945

Do Szefa Sztabu Naczelnego Wodza

Załączając przebieg służby za czas 1939–1945, proszę o przyjęcie mnie do służby stałej, umożliwienie mi odszukania mej rodziny, to jest żony i syna, którzy również przecierpieli więzienie, oraz wypłatę zaległych poborów.

Urodziłem się 9 listopada 1898 r. I Wojnę Światową przebyłem w P.O.W. i Legionach, polsko-bolszewicką w 2 p.a.l. Leg. Według listy oficerów zawodowych z 1921 r. byłem podporucznikiem ze starszeństwem od 1 grudnia 1914 r. Wyszedłem do rezerwy na własną prośbę w 1922 r. W 1931 r. mianowany porucznikiem, w 1942 r. kapitanem. Ukończyłem C.W. Art. w 1920 r. (egzamin na dowódcę baterii) i S. S. Art. w 1929 r. Oba z notą b. dobry. Jestem w pełnej sprawności fizycznej, moralnej i umysłowej. Władam językami: angielskim, francuskim, niemieckim, portugalskim, rosyjskim i ukraińskim. Poza wykształceniem wojskowym jestem agronomem, z ośmioletnią praktyką w rolnictwie tropikalnym.

Będąc żołnierzem od 17-go roku życia, pragnę walczyć, czynnie służąc Krajowi swym doświadczeniem, zapałem i krwią do czasu, aż ostatniego najeźdźcy nie wygnamy z naszych granic.

List ten tata napisał po wyjściu ze szpitala, w którym spędził kilka miesięcy po wyzwoleniu z Buchenwaldu przez wojsko amerykańskie. Do Buchenwaldu dostał się z Auschwitz, kiedy dotarł tam front wschodni. Mój ojciec nigdy ani jednym słowem nie wspomniał, czego doświadczył w obozach koncentracyjnych. Pewnie nie chciał nas obciążać swoimi przeżyciami, ponieważ mama i ja też byliśmy więzieni. Nie chciał dokładać do naszych jego jeszcze bardziej koszmarnych wspomnień. Dopiero w tych dniach, czytając książkę kuzyna Krysi – mojej żony – Jerzego Zollera (*Wspomnienia z lat okupacji niemieckiej, 1939–1945*), dowiedziałem się szczegółów odnośnie tego, jak nieludzka była codzienna rutyna więźniów w Auschwitz. O swoim udziale w obozowym AK też nigdy nam nie mówił, a wiemy przecież, że opór działał tam pełną parą. Lektura książki Jerzego głęboko mnie wzruszyła. A więc to wszystko mój tata musiał wycierpieć! On i jego współwięźniowie. To był istny *soco no estômago*, jak mówią Brazylijczycy. Potężne uderzenie świadomości tego, co się wydarzyło. Jestem Jurkowi bardzo, bardzo wdzięczny za to odkrycie prawdy. Jakże bolesnej, ale jednocześnie jakże potrzebnej! I to, że mój tata to wszystko przeżył i że go żywym odnaleźliśmy. Cud!

Do tego Bożego cudu, który dopomógł więźniom KZ-etów przetrwać, przyczyniły się również konkretne wyrazy otuchy w postaci paczek żywnościowych, a przede wszystkim listy, jakie przesyłali im ich bliscy. W ten sposób choćby przez krótką chwilę ich rodzice, żony, mężowie, dzieci stawali się im obecni. Wśród listów wysłanych do mego ojca zachował się napisany przeze mnie w 1944 roku.

Nie wiem, jakie inne odznaczenia tata otrzymał za swój czynny udział w kilku wojnach, ale do dziś

Tadeusz Łychowski – 1898 r.

Tadeusz Łychowski – początek xx w.

Babcia Maria i mój ojciec

Dwa zdjęcia dziadka
Ignacego Łychowskiego

zachował się Krzyż Niepodległości nadany mu 13 kwietnia 1931 roku, opatrzony własnoręcznymi podpisami marszałka Piłsudskiego oraz generała Wacława Jędrzejewicza.

Jednak jeszcze cenniejsze jest dla mnie oświadczenie Piotra Lisowskiego, towarzysza broni mego ojca. Wytrwać i przetrwać fizycznie i duchowo miesiąc, dwa, trzy w obozie śmierci to dowód wielkiego hartu, a cóż dopiero kilka lat?

Oświadczenie

Stwierdzam niniejszym, że znam ob. Łychowskiego Tadeusza od listopada 1939 r. od chwili gdy przez niego zostałem przyjęty do Organizacji Konspiracyjnej Związek Czynu Zbrojnego. W organizacji tej, która po scaleniu została wchłonięta przez Związek Walki Zbrojnej, pracowaliśmy razem, aż do chwili aresztowania w dniu 28 sierpnia 1942 r. w grupie pod kryptonimem „Stragan".

Zostaliśmy osadzeni na Pawiaku. W dniu 29 kwietnia 1943 r. zostaliśmy odtransportowani do Oświęcimia, gdzie z ob. Łychowskim Tadeuszem przebywaliśmy do jesieni 1944 r. Rozłączeni wysyłką w różnych transportach, spotkaliśmy się ponownie w marcu 1945 r. na Komendzie Buchenwaldu „S 3", w Krawhinklu w Turyngii.

Przebyliśmy razem transport pieszy z Krawihnklu do Buchenwaldu, gdzie Łychowski pozostał w szpitalu w stanie kompletnego wyczerpania, ja natomiast zostałem wysłany do Dachau w dniu 9 kwietnia 1945 r.

O dalszych losach Łychowskiego Tadeusza mi nie wiadomo, słyszałem, że zmarł w szpitalu z wyczerpania.

Łychowski tak podczas prac w organizacji, jak i obozie zachowywał postawę godną i obywatelską.
Warszawa, 13 kwietnia 1949 r.
/ – / Piotr Lisowski

Zatem po nieudanych próbach w tropikach mój tata postanowił wraz z rodziną wracać do Polski. Ale, ale… był to rok 1938! W pamięci czteroletniego chłopca zachowały się impresjonistyczne krajobrazy Angoli i bolesne wydarzenie, gdy pewnego razu wpadłem do żarzących się jeszcze węgli ogniska, uciekając od klapsa mego taty. Ojciec pocieszył mnie, przytulił i klapsa nie dostałem. Pamiętam też gorzki smak chininy i przykre objawy malarii, która nas często trapiła. Inny smak, tym razem przyjemny, to potrawa, którą gotowali Agolczycy i którą mnie częstowali: tak zwany *pirão*, przyrządzany z mąki kukurydzianej. Pociągiem zjechaliśmy z wyżyn Nowa Lisboa do portu Lobitu i stamtąd statkiem „Niassa" popłynęliśmy do Niemiec. Gdy przekraczaliśmy równik, 28 sierpnia 1938 roku, król Neptun nadał mi imię „Delfin".

– 2 –
Niemcy

Mój tata z Niemiec udał się wprost do Polski, a mama i ja odwiedziliśmy nasza niemiecką rodzinę. W Berlinie poznałem moją kuzynkę Gerdę. Jej matka, rodowita Niemka, wyszła za mąż za Żyda i gdy zaczęło się dziać niewesoło w Niemczech, wkrótce po *Kristallnacht*, rodzice wysłali ją do Anglii. Gerda dostała się tam w jednym z kindertransportów. Wielka Brytania była jedynym wówczas krajem, który wyszedł z taką inicjatywą, i przyjęła około

„Tante" Lieschen, moja mama i ja
– Chorinchen 1938 r.

dziesięciu tysięcy dzieci z Niemiec. Opowiadała mi, jak bolesna była dla niej ta rozłąka z rodzicami i jak trudne były początki na obcej ziemi. Tak to ujęła: *Die Heimat wurde mir zur Fremde, aber die Fremde wurde mir nie zur Heimat* (Ojczyzna stała się dla mnie obczyzną, ale obczyzna nigdy nie stała się dla mnie ojczyzną). W Londynie, podczas wojny, Gerda poznała polskiego Żyda, wyszła za niego za mąż i przeszła całkowicie na judaizm. Ryszard Gelbhardt służył w Armii Andersa, został ranny pod Monte Cassino i dostał się do Anglii przez Włochy. Spotkałem ich w Londynie w 1963 roku. Ojciec Gerdy przeżył wojnę, także dzięki pomocy niesionej przez moją ciotkę Lieschen Wuthe, pomimo tego że jej mąż, jak wielu Niemców, popierał Hitlera. Na ile to poparcie było świadome, półświadome lub zgoła nieświadome, trudno ustalić, ale fakt, że zgodził się na ratowanie Żyda, dobrze o nim świadczy. Tak też wydarzyło się przecież w życiu Szpilmana, którego uratował niemiecki oficer.

Panu Bogu za to dziękujmy, iż częściej, niż nam się to wydaje, człowieczeństwo bierze górę nad przynależnością narodową, polityczną, a ludzka esencja wszystkim nam wspólna – nad przypadkowymi atrybutami.

– 3 –
Mãe Quinhas I

Przyjaźń z rodziną portugalską Coelho da Cruz, którą moi rodzice poznali w Angoli w latach trzydziestych, przetrwała czasy wojenne i gdy w 1974 roku wybuchła w Portugalii rewolucja goździków, przyszła na nich kolej emigrować. Dokąd? Właśnie do Brazylii! Luiz Coelho da Cruz, mój rówieśnik, syn państwa Coelho da Cruz, osiedlił się z rodziną w São Paulo, a następnie w miasteczku Vassouras. Odwiedzając swego syna w New Jersey, zginął w wypadku samochodowym. Miałem wówczas okazję odwdzięczyć się naszym portugalskim przyjaciołom za pomoc okazaną nam w Angoli, ofiarowując im grób, w którym przedtem pochowany był mój tata i którego prochy już wtedy spoczywały na cmentarzu w Rio de Janeiro. Kilka lat później została tam też pochowana Mãe Quinhas, matka Luiza. Od niej dowiedziałem się, dopiero w Brazylii, o tajemnicy dotyczącej mego życia, ale o tym nieco dalej.

– 4 –
Angola

Mile też wspominam moich przyjaciół Angolczyków. Ciekawe, że od kiedy przekroczyłem sześćdziesiątkę, Angola coraz bardziej staje się obecna w mojej pamięci.

Z moimi przyjaciółmi Angolczykami – 1938 r.

Wyrazem tego są wspomnienia zawarte w kilku tomikach moich wierszy. Bardzo tęsknię za Angolą.

Jaka moja w tym wina
– urodzony w Angoli –
że nie jestem czarny?

Zaadoptowany przez Brazylię
że jestem gringo?

Jaka wina?

Że jestem synem Niemki w Polsce
Polaka w Niemczech?

Dość nierzeczywistych win!
Czy nie wystarczą te prawdziwe?

Dzieje świata zamknęły definitywnie rozdział afrykański mego życia. Ale na ile w naszym życiu definitywność jest definitywna? Marzenia o powrocie do Angoli nadal nurtowały w naszych sercach. Przed i po wojnie. Z zapisków mego taty dowiedziałem się, że miał jakieś plany dotyczące eksportu i importu między Polską a Angolą. Czy były to tylko jego plany prywatne, czy też miały jakiś związek z ideą Polski na kontynencie afrykańskim? Czytałem niedawno, że taki pomysł powstał w latach międzywojennych, i wiem też, że w Angoli przed wojną zamieszkiwała dość liczna gromada Polaków. Tropiki mają coś w sobie, oczarowują, jest w nich jakaś magia. A może to, co w naturze ludzkiej tak często się przejawia: duch konkwistadorów. Angola zawsze była w sercu rodziny Łychowskich ziemią wymarzoną, Przylądkiem Dobrej Nadziei.

– 5 –
Wojna

Czasy wojenne. Wolę tym razem mówić także o jaśniejszej stronie tego, co się wydarzyło. Już pod sam koniec oblężenia Warszawy, 26 września 1939 roku, obchodziłem moje piąte urodziny. Posiłek był tym razem urozmaicony, ponieważ na obiad mieliśmy… koninę. Mięso jakoś dziwnie słodko smakowało. Koń, biedaczysko, nastąpił na minę, która wybuchając, rozszarpała go. Naprawdę bardzo szczęśliwe było również Boże Narodzenie na Pawiaku w 1942 roku. Moje współwięźniarki tak potrafiły mi umilić ten dzień, że do dziś wspominam go z wdzięcznością. Między innymi niezapomniany gest Wandy Samardak, która

Mama i ja w Warszawie – 1938 r.

zafundowała mi buty, ponieważ moje sandały były za lekkie jak na polską zimę. Było naprawdę bardzo zimno, a centralnego ogrzewania raczej nie mieliśmy. A jeśli było… Od innych współwięźniarek dostałem w prezencie uszytego ze starego krawata malutkiego królika i kartkę świąteczną z wierszykiem o Tomku w celi nr 25. Króliczek przetrwał wszystkie te lata i posiadam go do dziś, a oryginał kartki świątecznej ofiarowałem Muzeum Więzienia Pawiak w Warszawie.

W tej chwili pamięć nasuwa mi jeszcze jeden solidarny gest. Kiedyś, gdy bawiłem się na podwórku przy ulicy Bednarskiej, dwie kobiety stojące przy bramie skinęły do mnie. Gdy się do nich zbliżyłem, dały mi bułkę z masłem. Przedtem i potem już do końca wojny nie zakosztowałem takiego smaku. W owych czasach to był rarytas. Nigdy więcej nie widziałem tych pań, nie wiem, kim były, ale nadal je widzę stojące przy tamtej bramie.

W więzieniu zdarzały się też akcenty humoru, jak wtedy, gdy do znanej melodii moje „koleżanki" dorobiły słowa o naszych ukraińskich strażnikach:

O Guciu teraz piosenka taka,
że mu trzy baby zwiały z Pawiaka.
Rudy wciąż teraz łezki ociera,
bo się niedługo na front wybiera.
A gdy komendant do celi wleci,
nawet w menażkach szuka nam śmieci.
Bardzo lubimy tego Czyżyka,
bo on nam nigdy drzwi nie zamyka.

Codziennie o szóstej rano był apel. Ustawione w dwurzędzie więźniarki i ja – miałem wówczas osiem lat – składaliśmy po niemiecku meldunek. Po pewnym czasie to mnie przypadła ta funkcja. *Fünfundzwanzig Frauen und ein Kind* – melduję. Na to Komendant: *Fünfundzwanzig Frauen und ein Man* – i bardzo zadowolony ze swego dowcipu, wybuchnął śmiechem. Mój znajomy Brazylijczyk skomentował to w ten sposób: „Ty jak mężczyzna, a nie dziecko, stawiłeś czoło nazistom".

A jak wyglądała nasza codzienna rutyna? Zanim nas przenieśli do „celi sprzątaczek", gdzie było nieco lepiej, mama i ja spaliśmy na pół siedząco, pół leżąco na podłodze. A to dlatego, że w celi, w której było aż dwadzieścia pięć kobiet i jedno dziecko, tylko niektórzy mieli gdzie się położyć. Gorzej niż ze spaniem bywało podczas nalotów, gdy nasi strażnicy gdzieś się chowali, a my, zamknięci w celach, drżeliśmy ze strachu za każdym razem, gdy usłyszeliśmy charakterystyczny świst spadających bomb. Bomby spadały nieraz bardzo, bardzo blisko. Co

prawda, naloty przeżyliśmy przed i potem, ale ta świadomość, że nie ma w razie czego jak ani dokąd uciekać, najbardziej dawała się we znaki. Hipoteza ucieczki była oczywiście tylko chimeryczna, ale za to zgroza – jak najbardziej realna.

Po wspomnianym apelu dawali nam „śniadanie": jakąś lurę czegoś i malutką kromkę chleba. Na „obiad" – trochę wodnistej zupy z brukwi. Gdy płakałem z głodu, mama dzieliła się ze mną swoją porcją. Zgodnie postanowiliśmy, że po zwolnieniu już nigdy więcej nie zakosztujemy tego warzywa, nawet gdyby to miał być najbardziej wykwintny przysmak. W ogóle snuliśmy różne kulinarne marzenia. Marzyć przecież zawsze wolno. Do tej naszej zupy naziści dodawali jakieś preparaty i na tym tle więźniarki miały zaburzenia hormonalne. Widocznie chodziło im o jakieś medyczne doświadczenia.

I jeszcze jedno więzienne postanowienie: nigdy nie mieć ptaszka w klatce… Albowiem:

Wszyscy urodzili się, by mieć skrzydła
by móc wysoko wznieść się do lotu

Po takiej szkole to wstyd wybredzać. Befsztyk przypalony? Przejrzały owoc? Niestety! Niestety! Szybko się zapomina! A jak było z naszym chodzeniem do ubikacji? Ponieważ nie wolno nam było wychodzić, w rogu naszej celi postawili kibel i przez całą noc szedł od niego duszący, ostry fetor, który zapełniał całą naszą niewielką celę. Aż dziw, że w takich warunkach były też chwile odprężenia. Że czasami było nawet wesoło.

Na tle tego tłoku moje „koleżanki" więźniarki dość często się kłóciły i wówczas Wanda Samardak, o której

Ja z mamą w Warszawie – 1941 r.

już wspomniałem, interweniowała w roli anioła pokoju. Byłem bardzo młody, ale głęboko w mojej pamięci pozostała jej postać, ciepło serca dobrego człowieka. Dowiedzieliśmy się potem, że Wanda Samardak została wysłana do jednego z KZ-etów i tam stracona.

A z naszym aresztowaniem to było tak. Pewnej sierpniowej nocy 1942 roku przyszli SS-mani i zawieźli nas na Pawiak. Pamiętam, że bardzo byłem wystraszony, ponieważ w ciężarówce skierowane w naszą stronę groźnie wyglądające pistolety i karabiny robiły przerażające wrażenie. Okazało się, że Kalkstein, podwójny agent, spowodował rozbicie grupy AK „Stragan", wskutek czego zaaresztowana została liczna grupa akowców. Kalkstein, o ile mnie pamięć nie myli, bywał u nas w domu na spotkaniach konspiracyjnych.

W Ogrodzie Saskim – 1941 r.

Kilka dni przed naszym aresztowaniem nieznajomy chłopiec niechcący mnie skaleczył. Na głowie miałem bolesną ranę. Już na Pawiaku zaprowadzili mnie do lekarza na opatrunek. Wrzeszczałem z całych sił: „Tata! Tata!", ale taty nie było. Podświadomie chyba jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że moje życzenie jest nie do spełnienia. Ta tak ważna obecność ojca w życiu każdego dziecka została mi odebrana. Tak naprawdę i rodzinnie spotkaliśmy się dopiero po wojnie.

Wracając do dziadowskich rymów: nie jest to żadna literatura, ale ile jest w nich prawdy historycznej! I jakie dzielne były te kobiety! Były też i srogie chwile, ale wolę także wspominać to, co nam wszystkim pomogło przetrwać.

Po jakimś czasie pozwolili mi bawić się na podwórku więzienia. Pewnego dnia ujrzałem zbliżającego się więźnia z taczką. Na pierwszy rzut oka go nie poznałem.

Był bardzo wychudzony, brodaty. Ale w końcu zmiarkowałem się, że to tata. Chciałem podbiec, uściskać go, ale czy ss-man pozwoli? Przez chwilę odczuć można było wyraźne napięcie. Pozwolił. Być może też był ojcem?

> *...Po podwórzu biega sobie 4-letni chłopiec* […]. *Kiedy ktoś z nas patrzy na to maleństwo, jakieś silne bezwzględne postanowienie budzi się na dnie duszy. Jak to mówi za siebie ten obrazek* […].

Ten gryps przesłany przez więźnia Pawiaka, Juliusza Klepacza, do jego rodziny figuruje w książce Krzysztofa Głuchowskiego *Śladami pradziadów* na stronie 74. Wyglądałem na cztery, ale w rzeczywistości byłem o kilka lat starszy. Tak, to mogłem być tylko ja. Innego pawiakowca w tym wieku i w tym okresie (druga połowa 1942 i pierwsza połowa 1943 roku) tam nie było, a te maleństwa, które czasami odwiedzałem w „celi matek", miały zaledwie po kilka miesięcy.

Jeszcze zima nie nadeszła, jak przywieźli na Pawiak liczną grupę Żydów. Byli dobrej myśli, ponieważ święcie wierzyli, że będzie to tylko krótkie miejsce postoju w ich drodze powrotnej do Ameryki. Swobodnie poruszali się po podwórku i tam ich spotykałem. Odwiedzałem ich też w osobnym budynku, gdzie ich ulokowano. Bawiłem się z nimi. Niestety, cel ich podróży był inny. Nie zdawali sobie sprawy z tego, jak groźna była ich sytuacja, i jedynie na tym polegało ich dobre samopoczucie. W tejże oto chwili pamięć przywołuje inne wydarzenie związane z naszymi „starszymi braćmi". Jeszcze przed zaaresztowaniem, jadąc tramwajem, widziałem, jak dwóch młodzieńców podnosi worek z pszenicą i przerzuca go nad murem do

getta. Wiemy przecież, że jakakolwiek pomoc udzielana Żydom była karana śmiercią. Nie wiem, jak ci młodzieńcy się nazywali, nie pamiętam ich twarzy, ale ich gest utkwił na zawsze w mojej pamięci.

Podczas powstania w getcie docierała do nas przez kraty szkarłatna łuna pożarów. Dzień i noc słychać było strzelaninę oraz wybuchy armatnie. Gdy wyjeżdżaliśmy z bram Pawiaka po naszym zwolnieniu, naokoło widać było już tylko ruiny i zgliszcza. Nieraz się zastanawiam, czy gdy rok później wybuchło powstanie warszawskie, ci młodzi bohaterowie, którzy z narażeniem życia pomagali uwięzionej w getcie ludności, też walczyli do upadłego, tak jak ich bracia Żydzi. Nie, nie mam wątpliwości. Tak na pewno było.

Ze wszystkich stron
wysokie mury
kraty w oknie

Od czasu do czasu nalot
człowiek się kurczy

Tak nie trafi w nas
wyjąca bomba?

Potem dzień i noc
karabiny maszynowe
armatnie strzały
łuny czerwone w kratach

Pewnego dnia cisza
wolność

Wywożą nas przez bramę Pawiaka
na zewnątrz ruiny getta

Płaska, pusta przestrzeń

– 6 –
Nasi starsi bracia i siostry

Moi teściowie przyjaźnili się z Feliksem i Janiną Karczmar. On Żyd, ona wychrzczona. Janina była intelektualistką i za studenckich czasów w Paryżu przyjaźniła się z Modiglianim i z Brailowskim, który za każdym razem, kiedy przyjeżdżał na koncerty do Brazylii, odwiedzał ją i Feliksa. Mnie jednak najbardziej imponowało to, że znała *Eugeniusza Oniegina* Puszkina na pamięć i że w Szwajcarii poznała samego Trockiego, z którym prowadziła długie rozmowy.

Co roku Feliks i Janina spędzali wieczór wigilijny u moich teściów. Ja na pewno wiele skorzystałem z rozmów, które z nią odbyłem, i jestem jej wdzięczny za to, że jako jedna z pierwszych osób popierała moje malarstwo. Feliks został pochowany na cmentarzu żydowskim, a Janina na Cemitério dos Ingleses (British Cemetery), w naszym grobie, który przedtem był jej grobem, ale – jak mówią Anglicy – *that´s another – long! – story*.

Druga taka serdeczna i głęboka przyjaźń łączyła mnie i moje dzieci z Anitą Zin. Anita była moją koleżanką w Cultura Inglesa i stąd dzieci też dobrze ją znały. Ponieważ znakomicie władała angielskim, pomagała mi poprawiać moje wiersze. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie i powiedziała: „Tomaszu, pomóż mi, chcę być katoliczką". Zaczęliśmy się mobilizować: Ewa Grzybowska,

Vilma Bahiana i ja. Jedna z jej znajomych, protestantka, też chciała Anicie pomóc, ale my powiedzieliśmy jej, że najprostsza droga do Jezusa wiedzie przez Jego Mamę i daliśmy jej wizerunek Matki Bożej, który postawiła w widocznym miejscu w mieszkaniu. Niestety, zmarła, zanim doszło do chrztu, ale zaprzyjaźniony z nami biskup nas uspokoił: jej chrzest był chrztem pragnienia.

A teraz kilka słów o Lilianie Syrkis. Jedziemy z Lilką odwiedzić Polaka, którego umieścili w szpitalu dla umysłowo chorych. Po drodze Lilka prosi, by zatrzymać się przy piekarni. Wysiada z samochodu i wraca z wielką torbą pełną bułek. Wchodzimy do ogrodu prowadzącego do budynku, w którym mieszkają chorzy. Każdemu spotkanemu w tym ogrodzie obłąkanemu Lilka daje bułkę. Oczywiście, nie tylko w ten sposób Lilka stale komuś pomagała i nadal pomaga. To święty człowiek.

Eugeniusz, mąż Lilki, był wieloletnim skarbnikiem Towarzystwa Polonia, a jego wspaniałe recytacje monologów Wiecha pozostały w pamięci wielu uczestników spotkań owego towarzystwa. Ich syn, Alfred, otrzymał prestiżową nagrodę literacką Jabuti za książkę, w której opisuje swój udział w walce z dyktaturą. Był jednym z czołowych polityków brazylijskiej Partii Zielonych. Alfred zginął niedawno w wypadku samochodowym. Lilianę, która przeżyła Sybir i stratę swoich najbliższych podczas wojny, trafił teraz ten tak bolesny cios. Al Gore, z którym Alfred się przyjaźnił, i jego ekologiczna fundacja, ustanowili nagrodę imienia Alfreda Sirkisa.

Carlos Barbouth to też postać niebywała. Tak kochał naszego Papieża, że jednemu ze swoich synów nadał imiona Jan Paweł. Carlos był dosyć ważną postacią w środowisku żydowskim, działającą na rzecz dialogu

Kościoła z judaizmem, a więc był oczywiście wielkim entuzjastą *Nostra aetate*. Kiedy go poznałem, zaproponował mi, byśmy razem wydali w Brazylii poezje Karola Wojtyły. On już znał Marka Skwarnickiego, którego poznał podczas podróży papieskich, i Marek, jako wydawca dzieł Karola Wojtyły, zgodził się. Część wziął na siebie Henryk Siewierski, część Carlos i część ja. Niestety, Carlos stracił posadę, musiał jakoś walczyć o byt i nic z tego nie wyszło. Jakiś czas potem przetłumaczyłem *Tryptyk rzymski* na portugalski, ale niestety spóźniłem się. Ktoś mnie wyprzedził. W 2008 roku podczas krakowskiej promocji *Skrzydeł*, która miała miejsce w gościnnym domu Olka i Basi Fiutów, miałem sposobność osobiście poznać poetę Marka Skwarnickiego.

Wracając do naszych przyjaciół Żydów, pragnę też kilka słów powiedzieć o Ludwiku Teicherze. Ludwik Teicher dożył sędziwego wieku i zawsze był dobrej myśli. Kiedyś pokazał mi swoje pamiętniki pisane w języku angielskim. Okazuje się, że urodził się w Drohobyczu. Ale to nie wszystko: był uczniem Brunona Schulza! Dumny, wszystkim opowiadam, że mam przyjaciela, którego nauczycielem od rysunków był nie kto inny, jak sam Bruno Schulz!

Maryla Gremo, pierwsza baletnica i choreograf Teatru Miejskiego w Rio de Janeiro, była wychrzczona i opowiadała mi, że na tym tle miała problemy ze swoją rodziną. Przed nawróceniem mogła czytać Pismo Święte tylko po kryjomu. Kiedy ją poznaliśmy, była już w podeszłym wieku i chodziła o kulach. Wyjątkowy talent taneczny, intelektualistka, wielka znawczyni sztuki baletu, która do końca życia prowadziła wykłady na ten temat. Odwiedzaliśmy ją dość często

i prowadziliśmy nader ciekawe rozmowy, przeważnie na tematy religijne.

Z kolei Samuel Rawet to odkrycie, które zawdzięczam Natalii Klidzio. Natalia dogłębnie studiuje jego życie i twórczość, a w 2009 roku obroniła pracę doktorską jemu poświęconą. Do dziś Samuel Rawet był dla mnie jedynie wybitną postacią literacką, ale raptem stał mi się bliski z racji mojej pracy translatorskiej, ponieważ tłumaczyłem dokumenty jego siostrzeńca. Mam cichą nadzieję, że w ten sposób będę mógł się zbliżyć do jego rodziny, a przez nią – do tego rewolucjonisty literatury brazylijskiej.

Nadal żyjącą i nadal tworzącą artystką jest Paula Trope – jest przecież jeszcze taka młoda! To ona filmowała nasze wywiady dla *Polônia Carioca* Magdy Materny. Każdy z nas miał opowiedzieć o swoich emigranckich losach (Liliana Syrkis, Władysław Dzięciołowski, Aleksander Laks – jeszcze jeden starszy brat – i ja). Z tego nagrania pozostało wrażenie, że poza słowami, poza samym obrazem jest jeszcze coś, co przemawia do widza, i że to coś jest tym najistotniejszym. Ale tu już wkraczam w wajdowsko-kieślowskie kompetencje. Paula nas odsłaniała, ale my też w jakiś sposób ją widzieliśmy:

Za kamerą

ktoś prawie niewidzialny
bez naszej wiedzy
każdemu nadaje jakąś formę

Nas odkrywa innym
nam samym

Obraz ten przekracza
to, co pragnę powiedzieć
w tym ryzykownym przedsięwzięciu
przemawia najbardziej intymna część
mego bytu

– 7 –
Pawiak

Po tej dygresji wracam na Pawiak… Znajdowała się tam nieczynna biblioteka, pamiętająca jeszcze przedwojenne czasy. Korzystałem z niej i… o dziwo! do dziś zachowałem książeczkę, którą wówczas sobie „wypożyczyłem": *Takie sobie bajeczki* Kiplinga. To zdumiewające, jak w zawieruchach wojennych pewne rzeczy potrafią przetrwać, a inne giną bezpowrotnie.

A teraz kilka słów o mojej wizycie u taty, który przebywał wówczas w izolatce. Jak wiadomo, izolatka w męskim budynku była przeznaczona dla „groźniej-

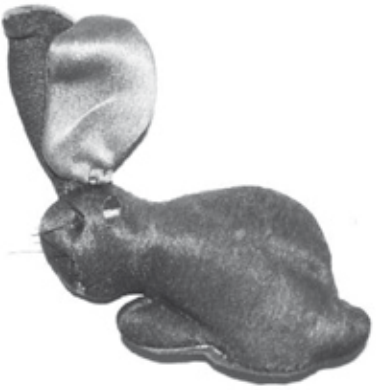

Prezent od więźniarek z Pawiaka – króliczek uszyty z krawata, 1942 r.

szych" więźniów. Mama napisała podanie do komendanta więzienia i ten zezwolił na wizytę bożonarodzeniową. Moja mama pisała także różnego rodzaju podania dla współwięźniarek. Dzięki znajomości niemieckio mogła im w ten sposób być uczynna. Moje „koleżanki" ukryły w pieczywie gryps z cennymi dla mego taty informacjami i pomimo tego, że drżałem podczas rewizji, kiedy mnie obmacywali, jednak nie wpadło im do głowy, by przekroić pieczywo. Konspiracja działała pełną parą – także w więzieniu! W czasie wizyty tata pokazał mi kawałek szkła, które wpadło przez kraty do jego celi podczas bombardowania, a przecież było surowo wzbronione posiadać jakiekolwiek ostre narzędzie. To dlatego, że

Drugi z prezentów – kartka z wierszem

mogłoby ono zostać użyte jako broń, posłużyć do zaatakowania naszych strażników lub też do popełnienia samobójstwa. Dlaczego, pytam siebie po latach, tata to zrobił? Jaka była symbolika tego gestu? Być może chciał przekazać mi swoje postanowienie o tym, że się nie podda i będzie walczył do końca.

To z kolei przypomina mi, jak ja sam – wówczas ośmioletni chłopiec – spowodowałem rewizje we wszystkich celach „Serbii", to jest żeńskiego budynku, w którym byliśmy więzieni. A było to tak. Obok naszej celi stał stół, na którym kroili chleb dla więźniów. Pewnego razu, gdy zostawili nasze drzwi otwarte i nikogo nie było przy stole, złapałem nóż i go schowałem. U nas rewizja nie była taka surowa i dokładna, ponieważ w naszej celi poza mną i mamą przebywała tylko jedna starsza pani. Dumny z mojego zuchwalstwa, czułem się prawdziwym żołnierzem AK.

Po wypuszczeniu mamy i mnie z Pawiaka spędziłem jakiś czas we Świdrze, w posiadłości pani Włoszczewskiej, by się trochę podżywić po głodówce więziennej. Raj na ziemi! Bawiłem się przy Świdrze, jadłem smaczne potrawy, byłem traktowany po książęcu. Pani Włoszczewska była w konspiracji – jak zresztą wielu innych – i w Mirażu, jej restauracji na Nowym Świecie, wydawała darmowe obiady dla akowców.

– 8 –
Dygresja II

Podróż w czasie to swojego rodzaju *stream of consciousness*. Zamiast uporządkowanego opowiadania kolejnych wydarzeń, pamięć szybuje tu i tam, przypomina o tym, co przedtem, i o tym, co potem. Eksploruję różne kierunki

w tej kopalni, raz bliżej światła dziennego, raz w głębokich podziemnych czeluściach i nieraz się zastanawiam: warto? mogę? powinienem? Mnie może się wydawać, że to czy owo jest istotne. Ale czyżby naprawdę? Czy pisząc o tych podziemnych, mrocznych czeluściach (moralnych, egzystencjalnych, sercowych), należy podać szczegóły, czy też wystarczy – by nikogo nie gorszyć – powiedzieć jedynie, że one dramatycznie, nieraz tragicznie istniały? Nie, nie wolno mi narażać moich bliskich na przykrości. Tak, niejeden z nas jest po troszę królem Dawidem przed i po jego nawróceniu. Ale każdemu z nas w takim wypadku Pan Bóg zsyła profetę Natana, by nas upomnieć. Moim Natanem był sympatyczny Brazylijczyk, od którego kupowałem cukierki. Mam wobec niego dług niespłacalny. Jedno słowo, jedno zdanie i stajemy w obliczu bolesnej prawdy o nas samych. Ale tylko ta prawda może nas w końcu wyzwolić. Na początku bronimy się. Nie, to niemożliwe, że to, co w sobie odkrywam, to jest moje prawdziwe ja. Po kilku latach ta prawda jest nadal bolesna, ale już przestajemy ukrywać ją przed sobą. W końcu dziękujemy Panu Bogu, że nam ją pokazał, ponieważ wówczas jesteśmy bardziej gotowi na pogodzenie się z tym, że nie jesteśmy, kim chcielibyśmy być, a przede wszystkim odkrywamy Boga miłosiernego, który potrafi wybaczyć to, co dla nas jest niewybaczalne. O ile *si vis pacem, para bellum* jest tragicznym pojęciem w międzyludzkich relacjach, o tyle w tym wewnętrznym zmaganiu ma swój sens. Ale nade wszystko łaska Boża, byśmy czasem nie pomyśleli, że to my zwyciężamy. Natan jeszcze kilka razy zjawił się w moim życiu.

Graham żalił się
dosyć miał tej jasnej strony

Musi przecież gdzieś być
ciemniejsza, powiedział

Pragnąc być dostępnym
zrozumianym
kochanym
jedynie mogłem sobie pozwolić
na te czarne litery
na jasnym tle

Gdybym był całkowicie ciemny
czy on by to zniósł?

– 9 –
„Módl się!"

Pewnego razu, jeszcze podczas oblężenia Warszawy, gdy zaryczały syreny i pośpiesznie opuściliśmy mieszkanie, by – jak to zwykliśmy – udać się do „schronu", czyli do zwykłej piwnicy niedaleko naszej kamienicy, już na ulicy zorientowaliśmy się, że nie damy rady: ze wszystkich stron leciały wybite szyby; i tu, i tam wybuchał pożar. Wróciliśmy do naszego budynku. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że bomba spadła właśnie na tamten schron. Gdyby nie nasze opóźnienie, to zginęlibyśmy wraz z innymi. Zanim bomba trafiła w ten nasz hipotetyczny schron, byliśmy tam kilkakrotnie. Przy jednej z tych okazji, gdy bomby już spadały, wydając przeraźliwy świst, a my kurczyliśmy się fizycznie i psychicznie jak ktoś, kto to chce uniknąć ciosu, jedna z kobiet krzyknęła do mnie: „Módl się! Módl się!". Wpadłem w panikę. Nie umiałem się modlić. A ona zapewne myślała, że modlitwa małego dziecka z pewnością zostanie wysłucha-

na. Coś w tonie jej głosu mówiło mi, że spoczywa na mnie ogromna odpowiedzialność, a jednocześnie czułem wielką niemoc. Czyżby owa kobieta zginęła w następnym nalocie tylko dlatego, że zdążyła tam się dostać, a my nie? A może przeżyła wrzesień, powstanie i czasami sobie przypomina tamtego malca z warszawskiej piwnicy? Do dziś słyszę jej apel.

– 10 –

Łączniczka AK

Bywało też, że podczas oblężenia Warszawy ludzie nieufnie odnosili się do mojej mamy, która pomimo tego, że mówiła płynnie po polsku, zdradzała swój niemiecki akcent. Dopiero gdy mój tata pewnego dnia zjawił się w mundurze polskiego oficera, nasi towarzysze niedoli odetchnęli z ulgą. Takie sytuacje powtarzały się dość często. Mamę maltretowali na alei Szucha, ponieważ była żoną Polaka, a Polacy nieraz krzywo na nią patrzyli, bo była Niemką. W Niemczech zaś wysyłanie listów i paczek do Auschwitz z małej niemieckiej wioski, gdzie wszyscy się znali, było w kontekście owych czasów wyrazem nie lada lojalności i odwagi. Po wojnie za udział w walce z okupantem moja mama, jako zweryfikowana łączniczka AK, otrzymała odznaczenie od polskiego rządu w Londynie.

– 11 –

Przed wyjazdem do Niemiec

W 1944 roku, niedługo przed powstaniem, SS-man Merten kazał mojej mamie powrócić do rodziny, do Niemiec. Do dziś zastanawiam się, czy to nie właśnie jemu zawdzięczamy to, że mój ojciec nie został po zaaresztо-

waniu z miejsca rozstrzelany, a także do jakiego stopnia Niemcy nie podejrzewali, że szykuje się powstanie. W każdym razie, gdyby nie rozkaz Mertena, może nie przeżylibyśmy owych czasów. Wyjechaliśmy z Warszawy na otwartym pociągu towarowym. Już w Niemczech przesiedliśmy się do normalnego pociągu i tam nauczyłem się pierwszego słowa w mowie niemieckiej: *Besetzt*, czyli WC zajęty.

Do wyjazdu z Warszawy mieszkaliśmy u cioci Tuni, Wincentyny Szydłowskiej, z domu Choynowskiej, która była siostrą mojej babki, Marii Łychowskiej. Nasz ostatni adres w Warszawie: Koszykowa 49 mieszkanie 13. W pamięci pozostały zaśnieżone ulice, sanki, zimowe przeziębienie i bańki, jakie przepisał doktor Obniski, a latem – pachnące bzy, niezapomniany smak młodych kartofli ze zsiadłym mlekiem, zabawy w ruinach domów, wartki prąd Wisły.

Moja babka Maria po śmierci dziadka Ignacego Łychowskiego wyszła za mąż za Leszka Ponińskiego-Walewskiego, którego – jak mi się wydawało – mój tata niezbyt lubił. Tak czasami bywa, że stosunki z ojczymem nie najlepiej się układają. Z tego, co zasłyszałem w dzieciństwie, babcię Marię zamordowali bolszewicy. Ignacy Łychowski był znanym prawnikiem w Kijowie i swojego czasu elektorem do Dumy. Mój tata urodził się w Kijowie, a dziadek Ignacy był właścicielem majątku Biały Rękaw na Podolu. Czyżby w końcu się okazało, że jestem dziedzicem posiadłości ziemskiej? Rodzina Łychowskich pochodzi ponoć z Czechosłowacji.

Kochana ciocia Tunia przygarnęła nas po wyjściu z Pawiaka i u niej, po więziennych przygodach, czuliśmy się jak u Pana Boga za piecem. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nieraz było jej ciężko związać koniec z końcem.

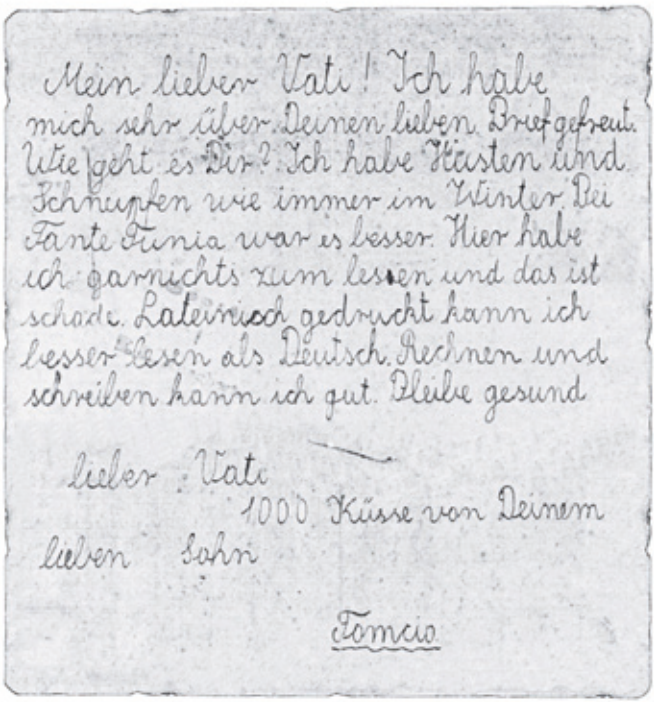
Mein lieber Vati! Ich habe
mich sehr über Deinen lieben Brief gefreut.
Wie geht es Dir? Ich habe Husten und
Schnupfen wie immer im Winter. Bei
Tante Tunia war es besser. Hier habe
ich garnichts zum lesen und das ist
schade. Lateinisch gedruckt kann ich
besser lesen als Deutsch. Rechnen und
schreiben kann ich gut. Bleibe gesund

lieber Vati
1000 Küsse von Deinem
lieben Sohn

Tomcio

List napisany do mojego ojca przebywającego w Auschwitz – 1944 r. „Mój kochany tatusiu! Bardzo się ucieszyłem dostawszy Twój drogi list. Jak się masz? Ja mam kaszel i katar, jak zawsze zimą. U cioci Tuni było lepiej. Nie mam nic do czytania, jaka szkoda. Drukowaną łacinę lepiej czytam niż Niemiecki. Dobrze liczę i piszę. Bądź zdrów. Kochany tatusiu, 1000 buziaków od Twojego kochającego syna. Tomcio".

Po kolei sprzedawała resztki pozostałych antyków. Po wyjeździe z Polski straciliśmy z nią kontakt. Ciepło jej domu to jasna słoneczna plama na tle tamtych burzliwych czasów.

Przepiękne były też wakacje szkolne na wsi. Korzystaliśmy z pomocy udzielanej biednym dzieciom przez RGO (Rada Główna Opiekuńcza) i jeździliśmy na polską wieś. To był raj na ziemi. Spaliśmy na siennikach na podłodze, mieliśmy nasze obowiązki (mnie przypadło sprzą-

tanie), chodziliśmy do chłopa po gorące mleko prosto od krowy, zbieraliśmy grzyby i owoce w lesie, biegaliśmy po łące. Mama zgłosiła się jako ochotniczka do pomocy, a więc byliśmy razem.

Innego razu, też na wsi, nauczyłem się kopać kartofle i zachwycałem się nieskończonością znikającego w dali horyzontu. Wracając bryczką z ostatniego pobytu na wsi, już niedaleko Warszawy słyszałem grzmot zbliżającego się do stolicy frontu.

Jeszcze raz polska wieś
RGO i obóz letni
dla biedniejszych dzieci

Na łące skoki, biegi, śmiech
nie ma rzeczy niemożliwych
to taki wiek

W lesie maliny
u chłopa mleko prosto od krowy
na drodze stopy grzęzną w błocie
w szkole na podłodze sienniki
obowiązki
raj

Powrót bryczką
z dala grzmot zbliżającego się frontu

Już niedaleko do Warszawy

W Warszawie często schodziłem stromą ulicą Bednarską do Wisły. Jej nieustannie przepływający prąd mówi

nam o czymś, co przemija, a jednocześnie o tym, co zostaje. Odkryłem to po wielu latach. Czyżby więc Heraklit miał rację, twierdząc, że „nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki"? Warszawę odbudowano. Jest i nie jest tą samą Warszawą, ale Wisła się nie zmieniła. Nadal niesie w dal zeschłe liście tego, czego już nie ma, a także te nurtujące nas obecnie uczucia. Teraz Wisła przekroczyła kontynentalne przestrzenie i dotarła do swego brata, Rio de Janeiro…

Nad morzem
łączący Rio de Janeiro z Niterói
długości przeszło czternastu kilometrów
most

Na Wiśle
łączący Warszawę z Pragą
o mniej niż pół kilometra rozpiętości
inny most

Czasami jest trudniej
przekroczyć tamten niż ten
lub łatwiej

Często jestem tam
podczas gdy tu jestem

I odwrotnie

Już po wyjściu z Pawiaka odwiedzałem na Starym Mieście majora (wówczas kapitana – pseudonim w AK „Tarnawa") Tomasza Reutta, towarzysza broni i najbliższego przyjaciela mego ojca. Byli sobie tak bliscy, że po

śmierci taty Tomasz zaproponował, bym mówił do niego „Wuju". A raczej pisał, ponieważ dzieliły nas przecież kontynentalne odległości. Spotkaliśmy się w życiu zaledwie kilka razy, gdy miałem osiem lat, ale po moim ojcu odziedziczyłem, między innymi, tę tak niezwykle cenną przyjaźń. Tata chciał go w 1949 roku sprowadzić do Brazylii, ale niestety przedwczesna śmierć mego ojca przekreśliła te plany. Tomasz przysyłał nam paczki na Pawiak i dla nas była to zawsze okazja do radości, albowiem w więzieniu odżywianie było bardzo mizerne. Na Starym Mieście znajdowało się schronisko dla inwalidów, które według relacji Tomasza Reutta było też punktem konspiracyjnym. Tam w towarzystwie rannych w bitwie o Warszawę żołnierzy śpiewałem żołnierskie pieśni i po raz pierwszy w życiu wypiłem kilka kropli wódki. Tomasz dał mi na pamiątkę tego spotkania monetę z wizerunkiem marszałka Piłsudskiego, którą z kolei podarowałem mojemu starszemu synowi, Rodrigowi. Tomasz Reutt, tak jak mój ojciec, był z powołania żołnierzem. Walczył w powstaniu warszawskim i jak najbardziej zasłużenie otrzymał order Virtuti Militari. Kilkakrotnie ranny, po wojnie dostał się do Anglii. Chciał mnie tam sprowadzić, bym mógł ukończyć wyższe studia, ale wahałem się, gdyż nie chciałem mojej mamy zostawić samej w Brazylii. W efekcie zrezygno-

Tomasz Reutt

wałem z jego propozycji. Myślę, że ten „dobry uczynek" względem mojej mamy nagrodził mnie potem wyższymi studiami anglistyki w… Brazylii. Gdy w końcu pojechałem do Londynu w 1963 roku, by Tomasza odwiedzić, spóźniłem się o jeden tydzień. Tomasz Reutt już nie żył. Poznałem jego córkę Danutę, jego żonę i syna. Przez jakiś czas byliśmy w kontakcie. Gdy w 2004 roku wziąłem udział w programie TVP *Porozmawiajmy*, Danusia zobaczyła mnie i tak, po upływie przeszło czterdziestu lat, dzięki telewizji ponownie nawiązaliśmy kontakt. Do dziś cieszymy się z tej wznowionej przyjaźni i tylko żałujemy, że dzielą nas tak wielkie odległości, choć mimo to kilka razy udało nam się spotkać w Londynie.

– 12 –
W Niemczech

Na wsi Chorinchen, w której mama się urodziła, zamieszkaliśmy u mojej *Oma*, czyli babci, która była niemiecką wieśniaczką. *Oma* była bardzo biedna, mieszkała w jednym pokoju i początkowo we trójkę spaliśmy na jednym łóżku. Ale czym chata bogata – angolska, polska, niemiecka, brazylijska – tym rada. Niewątpliwie, było to nie lada poświęcenie dla mojej niemieckiej babci: do jej już i tak trudnego życia na dodatek dołączyliśmy my. Z domu moja mama miała typowo niemieckie nazwisko: Seefeld.

Nauczyłem się chodzić w drewnianych sabotach, ale chyba łatwiej i mniej boleśnie było mi przedtem biegać na bosaka po rżyskach na polskiej wsi. Dość szybko nauczyłem się też niemieckiego, mogłem już swobodnie z babcią się porozumiewać, ale stosunki z moimi

Moi niemieccy przodkowie

rówieśnikami nie zawsze były poprawne. Chociaż, na ogół, raczej tak. Jak to u dzieci. Dość często prosiły mnie, bym im śpiewał po polsku. Nieśmiały, gramoliłem się na drzewo i ukryty w gałęziach śpiewałem tym niemieckim dzieciom siedzącym wokół drzewa *Hej, tam pod lasem*… i inne polskie piosenki. Bawiliśmy się też przy Chorin Kloster, XIII-wiecznym klasztorze, i słuchałem ze zgrozą, jak mi opowiadali, że są tam wmurowani żywcem ludzie. Bałem się też, gdy gęsi z wielkim wrzaskiem wznosiły się do lotu i podlatywały w naszym kierunku. Ale największy lęk przeżyłem, gdy pewnego dnia sowieckie samoloty, nurkując, zaczęły nas obstrzeliwać. Kule pruły drogę, po której szliśmy, a ja zacząłem biec z całych sił i rzuciłem się pod przyjazne ramiona najbliższego drzewa. Udało się! Jeszcze raz!

Z mamą odwiedzałem *Frau* Rühlman, która mieszkała w dużej, pięknej willi nieopodal wioski Chorinchen. Idąc do niej, mama szepnęła mi raz na ucho, że *Frau* Rühlman nie popiera Hitlera.

Frau Rühlman pożyczyła mi łyżwy i dzięki niej pierwszy raz w życiu jeździłem na łyżwach po zamarzniętym jeziorze. Od czasu do czasu odwiedzałem Polaków, którzy zostali wysłani na prace przymusowe do bauera, a oni mi pożyczali polskie książki. Gdyby nie to i fakt, że mama mówiła ze mną po polsku, a nie po niemiecku, pewnie język polski bym zapomniał. Do dziś pełen emocji przypominam sobie niezwykłe losy doktora Wilczura…

Z dziennika więźniarki na Pawiaku:
Zellenarrest – Wyjście z celi wzbronione

Po niemiecku
Mama była rodowitą Niemką
Reichsdeutsche

Maltretowana na alei Szucha
bo im się sprzeciwiała

W Chorinchen
otrzymywała listy z Auschwitz
tam wysyłała paczki

Lojalność postawiona nad stygmatem
„Żona Polaka!"
Ale byli tam też dobrzy ludzie
i niebo niebieskie

Bohaterska dusza
sercem Polka i Niemka
żona lojalna
moja Matka na zawsze

Przecież mama mogła powiedzieć memu ojcu: „rozumiem, że jako Polak chcesz walczyć o wolność twojej ojczyzny. Ale mamy małe dziecko, wyjadę z nim do mojej rodziny do Niemiec. Nie będziemy jego narażali na niepotrzebne cierpienia. A poza tym tu krzywo na mnie patrzą. Po wojnie znowu się tu spotkamy" – *Lojalność postawiona nad stygmatem*… Ceną tego był Pawiak.

Rok 1945. Na wsi rodzinnej mojej mamy w Niemczech kładziemy na taczkę naszą walizkę, by udać się do jeszcze jednej piwnicy –„schronu". Tym razem chcąc znaleźć jakieś ukrycie przed skrzyżowanym ogniem niemiecko-sowieckim. Huk strzałów karabinów maszynowych był coraz bliższy. Nie zdążyliśmy. Przed nami i w nas celując z typowej broni sowieckiej, zjawia się żołnierz Armii Czerwonej. Krzyczymy na cały głos: „Polacy, Polacy!". Napięte nerwy, mocno bijące serca, a w głowie naglące pytanie: „Strzeli? Nie strzeli?". Nie wiem, czy nas usłyszał, czy nas zrozumiał, ale nie strzelił. Zobaczył kobietę i małe dziecko. I być może jak u ss-mana na Pawiaku przeważyła ludzka solidarność. To też, być może, jest kwestią perspektywy. Pilot strzelający do dzieci w niemieckiej wsi widział w nas jedynie poruszający się cel, jak w *Video Game*. Ilu z nas uda mu się „wyeliminować"? Żołnierz sowiecki, który spostrzegł kobietę z dzieckiem w zasięgu kałasznikowa, widział w nas z kolei lub przypomniał sobie coś, co było mu bliskie.

Po wojnie moja mama zdecydowała, że zamiast wrócić z Niemiec do Polski, będzie bezpieczniej wrócić do Angoli. Nie wiedzieliśmy, czy tata przeżył wojnę i czy go odnajdziemy. Dla niego i dla mojej mamy Angola była wymarzonym eldorado. A więc może tam się spotkamy? O ile nasze stosunki z żołnierzami

Armii Czerwonej były bardzo przyjazne, gdy zjawiły się sowieckie politruki, sytuacja uległa radykalnej zmianie. Cudem dostaliśmy się do Berlina, który był wówczas podzielony na cztery strefy. Na dworcu w Berlinie mama poprosiła mnie, bym zapytał oficera sowieckiego o godzinę. Jeszcze na wsi Chorinchen przyjaźniłem się żołnierzami Armii Czerwonej i – jak to dziecko – szybko nauczyłem się porozumiewać w języku rosyjskim. A więc podchodzę do oficera i go pytam: „Katory czas, pażałsta?". Do dziś pamiętam jego radość. Tu i teraz to małe „rosyjskie" dziecko! Tak się ucieszył! Był wyraźnie rozczulony, a my dowiedzieliśmy się, która była godzina… Wówczas nikt już nie posiadał zegarków, wszystkie pozabierali sowieccy żołnierze.

Z dworca mama udała się do władz amerykańskich i powiedziała im, że jej syn, Angolczyk, pragnie wrócić do Afryki. „Proszę udowodnić, przedstawić dokumenty!" Udowodnić, że jest Angolczykiem? Prawie wszystko w zawierusze wojennej stracone, zgubione. Czy nie wystarczy ta fotografia mojego synka bawiącego się z angolskimi kolegami? „Niestety, bardzo nam przykro". Moja mama udała się wobec tego do strefy francuskiej. Sytuacja się powtórzyła. Ze strefy sowieckiej z wiadomych przyczyn zrezygnowała… Poszła do Anglików. Dokumenty? Nie posiadam. A mówi pani po portugalsku? Mówię. W Berlinie, w gruzach i zgliszczach, znalazł się ktoś, kto mówił po portugalsku. I tak zostaliśmy przyjęci do obozu dipisów (DP – *Displaced Person*), czyli uciekinierów. Od tej pory kocham Anglię, mile wspominam anonimowego tłumacza i chyba nieprzypadkowo jestem z zawodu nauczycielem angielskiego… W obozie uchodźców w Berlinie poznałem ludzi wielu

narodowości. Był tam nawet Hindus o ogromnych „hipnotyzujących" oczach i pierwszy raz w życiu usłyszałem słowo „Brazylia". Brazylia! A czy to nie właśnie język portugalski stał się naszym paszportem do wolności? Obóz mieścił się w dawnych (nie tak dawnych!) koszarach i dlatego bawiliśmy się nieraz rozsypaną w kilku miejscach amunicją…

– 13 –
Antwerpia

Rok 1946. Jesteśmy z mamą w Antwerpii. Czekamy na wizę do Angoli. Paraduję po ulicach z przypiętą do kołnierza broszką z portugalską flagą, którą dał mi konsul Portugalii. Jestem przecież Angolczykiem… W porównaniu do zniszczonych wojną Niemiec Belgia wyglądała jak raj na ziemi. Prawie nie było widać uszkodzeń wojennych. Chodziłem normalnie do kina i tam po raz pierwszy widziałem filmy kolorowe. Ale moją ulubioną rozrywką było odwiedzanie portu i obserwowanie oddalających się statków. Tam w porcie widziałem latającą bombę V1, która wbiła się w mur i nie wybuchła.

Pewnego dnia dzwonią do drzwi. W drzwiach widzę wojskowego. „Tato!" – poznałem go od razu. Po spędzeniu tych kilku miesiecy w szpitalu po wyzwoleniu z Buchenwaldu mój ojciec zaczął nas szukać. „Przypadkowo" natrafił na nasz ślad w jednym z obozów i idąc naszym tropem od obozu do obozu, odnalazł nas dzięki pomocy Czerwonego Krzyża w Belgii:

> *Fou de joie impossible vous exprimer ma gratitude – reconaissance infinie pour Madame Levert* […].

W Antwerpii – 1946 r.

W telegramie do pani Levert, która odnalazła nas w Antwerpii i podała mu nasz adres, tata wyraził chyba to, co każdy wówczas głęboko odczuł po odnalezieniu swoich bliskich: *Fou de joie!* Ten bezkres szczęścia i radości.

Mego tatę zobaczyłem ponownie dopiero po czterech latach rozłąki (1942–1946!). Podświadomie jakoś

Z mamą w Antwerpii – 1946 r.

zawsze byłem przekonany, że tata jednak przeżył wojnę. Jego obecność w moim życiu była stale potężna. Dopiero po śmierci taty w Brazylii mój świat się zawalił. Kuzynka Gerda, mówiąc kiedyś o tym nam wszystkim wspólnym fenomenie, określiła go w ten oto sposób: śmierć jest rzeczą definitywną. Nieuchronnym końcem czegoś.

– 14 –

Z powrotem do Niemiec

Zamieszkaliśmy w Mannheim, gdzie tata był komendantem polskiej kompanii wartowniczej przy wojsku amerykańskim. Od czasu do czasu jeździliśmy odwiedzać urocze Heidelberg. Na początku 1947 roku przenieśliśmy się do strefy francuskiej i zamieszkaliśmy w starożytnym mieście Trewirze (Trier – Treveris) nad Moselą. Stoi tam słynna brama Porta Nigra wybudowana jeszcze przez Rzymian. I czy właśnie nie tam urodził się Karl Marx? W Trier pierwszy raz w życiu byłem w teatrze. Grali *Die Zauberflöte* Mozarta. Następnie byłem na typowych niemieckich operetkach. Urocze, piękne miasto i pokryte winoroślą stoki gór po drugiej stronie rzeki Mosel – tak właśnie zapisał mi się w pamięci jeszcze jeden postój emigracyjnego szlaku. Potem była jeszcze mała miejscowość Killburg. Tam moim ulubionym zajęciem było chodzenie do lasu. Siadałem sobie pod drzewem i nieruchomy czekałem, aż las i jego mieszkańcy o mnie zapomną. Po jakimś czasie las powoli zaczynał się budzić, wychodziły wiewiórki, przylatywały ptaki, a pewnego razu nawet zjawił się zając. To było swojego rodzaju franciszkańskie zbratanie się z przyrodą. Bardzo dobrze mi tam z nimi było.

Czasami zastanawiam się, czy i do jakiego stopnia mogę powiedzieć, że w jakiś sposób też jestem Niemcem. Na wpół Niemcem? O ile Polska kojarzy mi się z łanami żyta i bezkresnym horyzontem, o tyle w Niemczech to były polany i lasy. I jedno, i drugie przytulam do serca. A więc przyroda jest tym, co mnie pociąga, co mnie oczarowuje swoją magią. Ziemia i to, czym ziemia oddycha. Do której tęsknię. Przez muzykę też potrafię być Polakiem,

Mama, tata i ja w Daun, Niemcy – 1948 r.

Z kuzynką Gerdą, Londyn – 1976 r.

Niemcem, Brazylijczykiem… I przez przyjaźń. Kolegowałem się w Niemczech i do dziś wspominam moich niemieckich rówieśników z pewną nostalgią. Szczególnie pamiętam Kaliego (Karl Lauterbach) i już na fermie w Brazylii otrzymałem jego list. Jakie były jego dalsze losy? W drodze powrotnej do Brazylii zatrzymałem się u przyjaciółł Gerdy w Berlinie, Heide i Petera Voglów. Czułem się jak u siebie w domu. A więc może jednak ta kropla niemieckiej krwi?

Kiedyś na przyjęciu w Rio, podczas towarzyskiej rozmowy, Amerykanin, psycholog z zawodu, wyjaśnił mi, że na pewno jestem o wiele bardziej Polakiem niż Niemcem. Zgadzam się z nim.

– 15 –
„Charlton Sovereign"

W grudniu 1948 roku na bardzo starym statku „Charlton Sovereign" wyruszamy z Bremem do Brazylii. W połowie drogi statek raptem zaczął się przechylać. Kazali nam wobec tego przenieść się na przeciwną stronę… Inne statki mijały nas i proponowały pomoc, ale nasz kapitan był uparty. W końcu dotarliśmy do miasta Vitória w stanie Espírito Santo. Tam statek poddano naprawie, która trwała kilka dni. Przyszli dziennikarze. Ponieważ mój tata mówił po portugalsku, przeprowadzili z nim wywiad. Opowiedział im o naszej odysei. Prawie 800 emigrantów i podróż, która miała trwać dziesięć dni, a trwała prawie miesiąc. Zabrakło żywności. Głód i ryzyko utraty życia.

Ale były też i wspaniałe chwile, jak te, kiedy zbliżając się już do tropików, wynosiliśmy na pokład nasze sienniki i tam sypialiśmy. Budzić się o świcie na pokła-

Dystrybucja żywności na statku – 1949 r.

dzie lekko kołyszącego się statku, oddychać powiewem od oceanu i patrzeć na wschodzące na horyzoncie słońce – to już chyba raj na ziemi.

Po kilku dniach wyruszyliśmy do Rio de Janeiro. Płyniemy wzdłuż pięknego wybrzeża Brazylii. W końcu nasz statek zawija do czarodziejskiej zatoki Guanabara. Ogarnia nas urok najpiękniejszego miasta na świecie.

Przy zejściu na ląd urzędnik brazylijski pyta wszystkich: *Fala português?* – mówisz po portugalsku? *Sim* – tak, odpowiada mój ojciec. I tak mój ojciec został natychmiast aresztowany, a nas zawieźli na Ilha das Flores (Wyspę Kwiatów), gdzie mieścił się obóz dla emigrantów. Przez kilka dni nie mieliśmy od taty żadnych wieści. Okazało się, że kapitan „Charlton Sovereign" wysłał depesze do Rio, że ma na statku agitatora. Wyraźnie nie podobał mu się wywiad mego ojca… Po kilku miesiącach wyczytaliśmy w gazecie, że nasz statek w końcu zatonął. Czyżby wraz z kapitanem?

– 16 –

Fazenda do Secretário

W Rio de Janeiro mój tata odnalazł przyjaciela i kolegę z konspiracji, Jerzego Chmielewskiego. Znali się jeszcze z Angoli. O Jerzym Chmielewskim dużo już pisano. Był on jednym z bohaterów AK, którzy rozpracowali rakiety V2. Podaję poniżej przekazane mi przez Krzysztofa Głuchowskiego na ten temat szczegóły:

> *Po powrocie z Auschwitz, po kwarantannie Chmielewski powrócił do pracy jako szef Komisji Badawczej zajmującej się wyłącznie rakietami, czyli V2. Podlegał bezpośrednio płk dypl. Kazimierzowi Iranek-Osmeckiemu „Makaremu", szefowi II Oddziału Komendy Głównej AK. W nocy 25 na 26 lipca 1944 został wysłany wraz z zebranymi przez wywiad AK częściami rakiety V2 i informacjami o tej rakiecie samolotem do Włoch a stamtąd do Anglii.*

Hacjenda Fazenda do Secretário

Operacja ryzykowna, albowiem samolot, który po niego przyleciał z Anglii, lądował w Polsce nocą na niewielkiej łące.

Wiele lat po wojnie byłem obecny w Ambasadzie Brytyjskiej w Rio de Janeiro, gdy ambasador Zjednoczonego Królestwa w imieniu królowej Elżbiety II wręczył panu Jerzemu bardzo wysokie odznaczenie *Distinguished Conduct Medal* za jego udział w II wojnie światowej.

Okazało się, że oprócz Jerzego Chmielewskiego mój ojciec znał też – jeszcze z czasów szkolnych – byłego posła RP w Brazylii, Tadeusza Skowrońskiego, jak również kilku innych Polaków. Tata dostał posadę zarządcy na fermie Fazenda do Secretário i tam po niespełna roku zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Secretário była dużą posiadłością ziemską jednego z dygnitarzy cesarza Piotra II (stąd pewnie ta nazwa). Ten wspaniały dworek w stylu kolonialnym, z bogatym w tropikalne rośliny ogrodem, obecni właściciele pięknie odrestaurowali. Powrócił do dawnego splendoru.

W ogrodzie duże drzewo
czarny, podobny do czereśni owoc
sadzili go niewolnicy
początek XIX wieku

Teraz tropikalne zarośla
zakrywają ścieżkę
naokoło brzęczą duże ciemne muchy
wąż wije się śród suchych liści

Wszystko tchnie tajemniczą obietnicą
rzeczy niemożliwych

Wiek XIX, ale także XX
rozłożyste gałęzie jabuticabeiry
gruby pień, ciemnozielone liście
nadają otoczeniu nastrój
w powietrzu przetrwanie

Słodki owoc rozpuszcza się w ustach

Dla mnie, oczytanego w powieściach o Dzikim Zachodzie, Secretário okazała się spełnieniem młodzieńczych marzeń. Codziennie jeździłem konno z *vaqueiros* – brazylijskimi cowboyami, nauczyłem się ujeżdżać dzikie konie, lasować bydło. Przez jeden rok był to raj na ziemi.

Jeszcze portugalskiego zbyt dobrze nie znałem, gdy zobaczyłem dwóch takich *vaqueiros* gwałtownie do siebie krzyczących. Bałem się, że wkrótce dojdzie do rękoczynu. Tata mnie uspokoił… to była po prostu taka towarzyska rozmowa. Dla Europejczyka nieprzyzwyczajonego do temperamentu latynoskiego każdy dzień przynosił nowe odkrycia. Życie pod Krzyżem Południa jest bogatsze w wyrażaniu uczuć, bardziej ekspansywne, towarzysko barwne i melodyjne.

Gdy tata dostał zawału serca w Rio de Janeiro, mama pojechała do niego, a ja zostałem sam na fermie. Błąkałem się po wielkim domu i niepokoiłem się o zdrowie taty. Tak jak Wandę Samardak na Pawiaku, Pan Bóg zesłał mi wówczas nowego anioła stróża w osobie Dony Dejaniry, naszej praczki. Dona Dejanira miała czworo synów. Trzech było zatrudnionych na fermie, a jeden z nich pracował w szpitalu w miasteczku Vassouras. Dona Dejanira zapraszała mnie pod wieczór do swej lepianki, bym nie czuł się zbyt

samotny. Gdy zachodziło słońce, zapalali w lepiance znicz i wszyscy wtedy mówiliśmy sobie *Boa noite!* – czyli dobry wieczór.

Po śmierci taty Dona Dejanira pomogła mi znaleźć zatrudnienie w Vassouras. Przez jej syna, który tam pracował, zostałem skierowany do szpitala zarządzanego przez zakonnice. Przedstawiłem się matce przełożonej, która z miejsca zapytała: „Jesteś katolikiem?". Dona Dejanira, która była chrześcijanką, ale nie katoliczką, uprzedziła mnie, że tak właśnie będzie i wyperswadowała mi, że – jak by nie było – mam odpowiedzieć twierdząco. Więc odpowiedziałem „tak"… kłamiąc.

– 17 –
Wybory

Mój ojciec był nominalnym katolikiem, a moja matka nominalną luterantką. Ale oboje byli wierzący. Do dziś, gdy czytam listy mego ojca z Auschwitz, jestem dla niego pełen podziwu. Ten półszkielet, ten cień człowieka

Mój chrzest: o. Antonius, Jerzy Chmielewski, ja i Alina Raue – 1960 r.

zawsze nas zapewniał, że dobrze się czuje, że trzeba ufać Panu Bogu, że już niedługo wojna się skończy. Nie rezygnując z prerogatyw swego ojcostwa, starał się przekazać mi wartości etyczne. Pisząc w liście z Auschwitz, że motto rodziny Łychowskich brzmi: „Bądź wyrozumiałym dla słabych i mocnym wobec mocnych", mój ojciec wyraźnie postawił kropkę nad i. To nie dobrze odżywieni ss-mani, lecz właśnie ci na pół żywi więźniowie byli zwycięzcami.

Tu był mój tata
nadal jest
bo tu, co było, zostaje

Stąpam po Zbiorowym Grobowcu
drobny pył spalonych ciał
przylgnął do tych ścian

Nie sposób wyzwolić się
z tej świadomości:
Oni tu są, tu zostaną

Wielojęzyczna gromada odwiedzających
zapamięta, że okrucieństwo potrafi być
chirurgiczne
że znęca się, zabija
a potem wystawia akty zgonu
powiadamia rodziny

„Zgodnie z artykułem takim a takim
Ustawy takiej a takiej..."

W tej żelaznej dyscyplinie
człowiek czuję się usprawiedliwiony

Nie ma winy, gdzie panuje porządek

Tak, mój tata tu był
przeżył – czyżby naprawdę?

Ale teraz, z całą pewnością, jest mi
jeszcze bliższy

Prawdopodobnie nie był to także zwykły przypadek, że moja mama, rodowita Niemka i luteranka, która mnie wychowała na polskiego patriotę, w swoim pokoju miała wizerunek Pani Jasnogórskiej…

Czy tata i mama zawsze byli moimi bohaterami? Nie. Dopiero jak w sposób bolesny zdałem sobie sprawę z tego, że ja też jestem tylko człowiekiem, odkryłem ich wielkość. Niestety, czasami trzeba długo żyć, by dojrzeć do prawdy o sobie i o innych. Będąc jedynakiem, miałem to ułatwione. Gdy jest rodzeństwo, stosunek do rodziców potrafi się jeszcze bardziej komplikować. Nasz stosunek do nich już nie jest bezpośredni, wpływa nań spojrzenie starszego brata, syna marnotrawnego.

Rodzice postanowili, że kwestię wyboru religii pozostawią mnie, gdy dorosnę. Z tego powodu znajdowałem się nieraz w tarapatach. Do szkoły podczas wojny regularnie nie chodziłem, ale pamiętam, jak pewnego razu każdy z uczniów miał zamanifestować swoje *credo* i gdy przyszła na mnie kolej, powiedziałem, że nie wyznaję żadnej religii. W atmosferze wyczułem dużą konsternację, ale jednocześnie miałem wrażenie, że jestem

w tym zbiorowisku kimś szczególnym. Przynajmniej nie takim samym jak wszyscy inni.

Po tym publicznym kłamstwie w szpitalu nastąpiło coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Jeśli powiedziałem matce przełożonej, że jestem katolikiem, to muszę nim być. A więc trzeba praktykować religię: chodzić na mszę świętą, spowiadać się… Ale w głębi duszy to mnie nękało. Ciekawe, że to mentalne rozdwojenie funkcjonowało w taki sposób, że po pewnym czasie doszło do tego, że miałem okresy, kiedy wierzyłem we własne kłamstwo.

Kilka lat później, już w Rio de Janeiro, zacząłem interesować się innymi religiami i dopasowywać przeróżne doktryny do tego, co w danym momencie mi odpowiadało – a nie odwrotnie. W polskim kościółku słuchałem kazań księdza proboszcza i gdy on kiedyś powiedział, że do Kościoła można należeć w różny sposób, ta szeroka perspektywa, to otwarcie zrobiło na mnie wielkie wrażenie. I postanowiłem, że takiego Kościoła pragnę być częścią. Jednocześnie trudno, bardzo trudno było mi żyć w permanentnym zakłamaniu. Prawda napierała, prosiła o światło dzienne. Jednakowoż poza tym nawróceniem konceptualnym najgłębszy wpływ na moją decyzję, choć wówczas chyba tylko podświadomie, wywarły solidarne gesty Wandy Samardak na Pawiaku, praczki Dony Dejaniry na fermie Secretário i siostry Pauliny w szpitalu w Vassouras. Jeśli są tacy święci ludzie na tym świecie, to znaczy, że Pan Bóg istnieje. Na dodatek moje dobrodziejki były chrześcijankami, a to było ludzkim drogowskazem: do Pana Boga przez serce. Jednak znowu minęło kilka lat, zanim to doszło do skutku.

U Chmielewskich poznałem panią Alinę Raue, córkę Emila Młynarskiego i siostrę Nelli Rubinstein. Przyjecha-

ła ona do Brazylii, by starać się o odzyskanie posiadłości ziemskich po Bronisławie Rymkiewiczu. Inżynier Rymkiewicz to zasłużony dla rozwoju XIX-wiecznej Brazylii nasz rodak, o którym szerzej już pisał mój przyjaciel, historyk, doktor Jerzy Mazurek. Zaprzyjaźniłem się z panią Aliną i starałem się jej w tym trudnym przedsięwzięciu pomóc, ale cała sprawa wydawała się bardzo zagmatwana. Kiedyś zapytała mnie o moją wiarę. Wyznałem jej, jak ta sprawa wyglądała i że chciałbym być ochrzczony. Pani Alina zaczęła energicznie działać i wkrótce pobierałem już lekcje religii u ojca dominikanina Antoninusa Abela Depares, pochodzącego z Malty. Przed chrztem odbyłem spowiedź ogólną u ojca Antoninusa. Chociaż chrzest wybacza wszystkie grzechy przedtem popełnione – z czego ja cynicznie i nikczemnie do końca korzystałem i przez co do dziś mam wyrzuty sumienia – to ojciec Antoninus mądrze zadecydował, że spowiedź ma się odbyć. Podczas spowiedzi ojciec Antoninus uśmiechnął się tylko raz, rozbawiony, gdy mu powiedziałem, że po raz drugi przystąpię do Pierwszej Komunii Świętej i że po raz drugi będę bierzmowany… Tak, niemało kłopotu i trudu zadałem Duchowi Świętemu! Zapewne nieraz westchnął głęboko: „Ach ten Tomasz! O, cierpliwości!". Jestem święcie przekonany, że bardzo często ratował mnie Jego wysłannik, mój Aniół Stróż. Natychmiast po dotarciu do Niebia (oby!) serdecznie go uściskam.

Po spowiedzi, wracając do domu wzdłuż plaży Copacabana i czując na twarzy lekki powiew od morza, doznałem nieznanej dotąd radości, tak jakby mi dano skrzydła.

Chrzest odbył się w kościele Świętej Tereski z Lisieux. Moimi chrzestnymi byli Jerzy Chmielewski i Alina Raue, a chrztu udzielił ojciec Antoninus. Był tam też

przypadkowo obecny fotograf. Gdy kilka dni później poszedłem po zdjęcia, jego kolega bardzo mnie przepraszał: nigdy im się coś takiego nie wydarzyło, żeby na fotografii ze chrztu nie było widać dziecka, tylko samych dorosłych…

Z Jerzym Chmielewskim miewaliśmy nieraz zażarte dyskusje na tematy religijne. On należał do tego pokolenia polskich inteligentów, którzy z Kościołem byli na bakier. Ale pewnego dnia powiedział mi, że codzienne robi rachunek sumienia. Rachunek sumienia? Codziennie? Pomyślałem sobie: mam dobrego ojca chrzestnego.

Pani Dzika (Jadwiga), jego żona, była bardzo dzielnym człowiekiem. Gdy pan Jerzy stracił posadę, pracowała przez pewien czas po nocach jako pielęgniarka, by utrzymać rodzinę. Gdy ciężko zachorowała na raka, Józef T., który też przyjaźnił się z Chmielewskimi, chciał ją nakłonić do wypicia kilku kropel wody z Lourdes. Udało mu się zdobyć u zakonnic małą buteleczkę i dał ją pani Dzice. Powiedział mi, że miał cichą nadzieję, że ona uwierzy w tę możliwość uzdrowienia, ale nie był pewien, czy uda mu się ją przekonać. I w tej niewiedzy pozostał do końca. Pewnego dnia, gdy pani Dzika była już umierająca, zadzwoniła do Józefa narzeczona Jacka i powiedziała mu, że pani Dzika kilka razy wypowiedziała jego imię. Udał się do szpitala, ale pani Dzika nie wróciła już do przytomności.

Chmielewscy mieli służącą Alzemirę. Była już niemłoda i wyglądała na Indiankę, a całą twarz miała pokrytą śladami ospy. Gdy pan Jerzy stracił posadę, pracowała u nich przez dłuższy czas za darmo. Prosiła mnie, bym ją nauczył czytać i pisać. Męczyliśmy się przez jakiś czas, ale bez skutku. Ta analfabetka o złotym sercu potrafiła jednak mówić o sprawach bardzo głębokich i ważkich. Na stare lata Jacek Chmielewski, wdzięczny za jej wie-

loletnie oddanie, umieścił ją w wygodnym domu dla starców, gdzie zakończyła swój żywot.

Tak, data chrztu była nadzwyczaj ważną datą w moim życiu: 23 października 1960 roku. Miałem wówczas ukończone dwadzieścia sześć lat. W tym samym roku otrzymałem obywatelstwo brazylijskie i składając przysięgę, musiałem „zrzec się, ze wszystkimi skutkami, poprzedniego obywatelstwa". Ze wszystkimi skutkami! Dziwne uczucie. Teraz już można posiadać dwa, nawet trzy obywatelstwa, nie zrzekając się poprzedniego. Początkowo nachodziły mnie moje słowiańskie skrupuły, ale stopniowo udało mi się przekroczyć pewne progi. Można przecież kochać i jeden kraj, i drugi, i trzeci.

– 18 –
Mãe Quinhas II

Gdy w 1974 roku, uciekając z Angoli, przybyła do Brazylii wyżej wspomniana Mãe Quinhas, moja mama niestety już nie żyła, a w Angoli były przecież w wielkiej przyjaźni. Jej syn Luiz był moim rówieśnikiem, a ponieważ moja mama nie mogła karmić piersią, Mãe Quinhas karmiła i mnie. Prawdopodobnie dlatego, a także z powodu przyjaźni moich rodziców z rodziną Coelho da Cruz, mój stosunek do niej był zawsze nader czuły. Dopiero w Brazylii dowiedziałem się, że Mãe Quinhas – znając poglądy moich rodziców – na wszelki wypadek mnie ochrzciła. Tajemnica ta przetrwała czterdzieści lat! Chrzest także dwukrotny? A więc kłamstwo było prawdą?

Po chrzcie w 1960 roku – a więc po tym drugim – nastąpił trwający rok okres błogiej ciszy i pokoju duchowego. Nic mnie nie trapiło. Ani ciało, ani dusza. Ale potem…

potem się zaczęło! Ten tak konieczny okres oczyszczenia przez samopoznanie, okres, który tak naprawdę trwać będzie do końca życia. Nieraz wydaje mi się, że ludzie bardziej święci przechodzą przez czyściec zewnętrzny, a ci raczej „nieświęci" – przez czyściec wewnętrzny. Jednych trapią latające naokoło wirusy, a innych własne mikroby.

– 19 –
Pierwsze zatrudnienie

Miałem piętnaście lat, gdy zostałem zatrudniony w szpitalu Eufrásia Teixeira Leite, w aptece szpitalnej. Moją przełożoną była siostra Paulina. Mieszkaliśmy z mamą za darmo w małym pokoiku, który nam odstąpiła zaprzyjaźniona niemiecka rodzina. Problem polegał na tym, że nie miałem pieniędzy na autobus do szpitala. Siostra Paulina sprzedawała puste buteleczki po lekarstwach i z tych pieniędzy opłacała moją miesięczną kartę autobusową. Gdy z kolei musiałem udać się do dentysty, siostra Paulina pożyczyła mi odpowiednią sumę na ten wydatek. „Pożyczyła", ponieważ potem nie chciała przyjąć zwrotu pieniędzy. Był to rok 1950. W grudniu 2008 roku jeszcze raz odwiedziłem siostrę Paulinę w Valençi, teraz już 97-letnią! Siostra Paulina mnie zapewniała, że codziennie się za mnie modli, a ja codziennie dziękuję Panu Bogu za tak świętą wstawienniczkę. W 2009 roku udałem się ponownie do Valençi i w dniu 15 sierpnia świętowaliśmy wspólnie jej 98. urodziny. I tak jeszcze kilkakrotnie aż do przeszło 100 lat. Teraz wiem, że wstawia się za nas w Niebie.

Kuchnia brazylijska jest wyborna, ale trzeba się do niej przyzwyczaić. W szpitalu dawali nam porcję ryżu i czarnej fasoli – i to chyba wszystko. A w Europie pod-

stawą wszystkiego są przecież ziemniaki. Mnie trudno było to przełknąć. Podawali nam talerze przez małe okienko do kuchni. Mój talerz wracał prawie nietknięty. Jedna z kobiet tam pracujących zauważyła, co się dzieje, zlitowała się nade mną i zaczęła podawać mi przez to okienko kawałki mięsa i warzywa, które lekarze zostawiali na talerzach. Ich dania były oczywiście o wiele lepsze. Kulinarnie odżyłem! Jakże jestem wdzięczny tej anonimowej dobrodziejce! Dziś ryż i fasola są moją ulubioną potrawą, zwłaszcza *feijoada*, która jest odpowiednikiem polskiego bigosu. Czegóż tam nie ma!

– 20 –
Przyjaciele

W Rio de Janeiro zaopiekowali się mną Chmielewscy. Kilkakrotnie spędzali z nami na Secretário weekendy, a nawet przyjeżdżali na dłuższy pobyt z synem Jackiem, a więc już dobrze ich znałem. Pan Jerzy odbył ze mną rozmowę, w której podkreślił, że ma dług wdzięczności względem mego ojca jeszcze z czasów jego pobytu w Auschwitz. Że mój ojciec mógłby przecież ułatwić sobie czasy więzienne, gdyby… Ja z kolei nie miałem wątpliwości: Tata nie potrafiłby inaczej postąpić. Nawet do głowy by mu to nie przyszło.

Po jakimś czasie zamieszkałem u pani Anny Janiakowej, która wynajmowała pokoje z kawą i bułką z masłem na śniadanie, a dla takich, jak ja – trochę biedniejszych – wynajmowała półpokoje, ale także z kawą i bułką z masłem. Pokój dzieliłem z Brazylijczykiem, który dyskretnie nigdy nic nie mówił. Przychodził i wychodził – tak jak ja. Anna Janiakowa miała silną, energiczną osobowość. Kiedy zginął

w wypadku samochodowym słynny śpiewak Francisco Alves, pani Anna wzięła mnie za kołnierz i kazała mi iść z nią do Radio Nacional, by w imieniu kolonii polskiej w Rio de Janeiro złożyć kondolencje. Myślę, że jednak dobrze się stało, że dobrowolnie się tam wybraliśmy, ponieważ to był chyba jedyny gest z naszej strony, by zamanifestować naszym brazylijskim przyjaciołom, że dla nas to też była niepowetowana strata. Anna Janiakowa często nam opowiadała, jak to na początku XX stulecia w stroju krakowskim witała pierwszych polskich dyplomatów wolnej Polski.

Za pośrednictwem państwa Fischlowitzów otrzymałem pracę w firmie, która importowała i sprzedawała maszyny i części wymienne. Pan Stanisław Fischlowitz, profesor Uniwersytetu Katolickiego w Rio, był bardzo ceniony w środowisku intelektualistów brazylijskich, zwłaszcza za swój udział w opracowaniu brazylijskiego ustawodawstwa pracy i w redagowaniu encyklik papieskich. Kilkakrotnie reprezentował Brazylię za granicą. To on napisał książkę o Krzysztofie Arciszewskim, który był jednym z pierwszych Polaków w Brazylii. Profesor Fischlowitz był też cenionym autorem książek o tematyce społecznej. Wiem, że on także pomagał wielu innym ludziom.

W PANAMBRA, bo tak ta firma się nazywała, pracowało między innymi dwóch Niemców. Jeden miły, życzliwy, przyjazny, a drugi – bardzo nieprzyjemny. Ten ostatni przypominał mi wcale nie tak dawne czasy… Moja pensja wystarczała do połowy miesiąca i wówczas musiałem zawsze prosić o zaliczkę. Gdy pierwszy raz udało mi się dobrnąć do końca miesiąca, kupiłem sobie nowy garnitur na raty i poszedłem na polski bal zorganizowany przez pana Romana Busztę. Wówczas kolonia polska w Rio była jeszcze liczna i prężna. Sala balowa była pełna.

Nabożeństwa polskie też gromadziły sporo ludzi. Mszę świętą dla Polaków celebrował w wynajętym kościele na Botafogo ksiądz prałat Władysław Słapa. Tam po raz pierwszy zetknąłem się z kolonią polską w Rio i pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarło na mnie to, że ludzie wokół mnie mówili po polsku. Przyjechałem z prowincji, gdzie nie miałem kontaktu z Polakami, a tu raptem spotykam ich tylu naraz! To też świadczy o tym, jak emigranta ciągnie do swoich. Jak trudne są początki życia w nowym, obcym środowisku, zanim ono stanie się już nie obce, lecz swojskie, będzie częścią składową nowej egzystencji. Na początku każdy emigrant jest „Latarnikiem", a dopiero po jakimś czasie – jak to zgrabnie ujął poeta Lemiński – „Eks-obcym".

U przyjaciół Chmielewskich poznałem państwa Hauke-Nowaków. Aleksander Hauke-Nowak był żołnierzem Pierwszej Kadrowej, a w późniejszych latach wojewodą łódzkim, którego losy wojenne zaprowadziły wraz z żoną Krystyną do Anglii. Do Brazylii przybyli na zaproszenie brata pani Krystyny, Bohdana Pawłowicza. W Brazylii pan Aleksander był w zarządzie Skarbu Narodowego i pracował u Henryka Spitzmana-Jordana, polskiego przedsiębiorcy w branży budowlanej.

– 21 –
Świetliki

Poznałem panią Krystynę Hauke-Nowak w 1952 roku. Było to niedługo po moim przybyciu do Rio de Janeiro z prowincji. Miałem siedemnaście lat. Pani Krystyna miała bardzo specyficzny styl wyrażania myśli i dopiero

„Świetliki": Hanka Lechowska, Wanda Lechowska, Elżbieta Radziwiłł, Muza Wojtkiewicz, Krysia Pawłowicz, Marysia Kaszer i Ewa Czaińska – 1955r.

Pan Tadeusz – ja, Aleksandra Chmurzyńska i Antoni Potocki

Arpoador: ja, Krysia Pawłowicz i Antoni Potocki – lata 50.

„Świetliki": Maciej Babiński, Andrzej Fedorowicz, Henrique Martins, Henryk Siedlikowski i Antoni Potocki – 1955 r.

„Świetliki" na plaży Arpoador: Jacek Chmielewski, Krysia Pawłowicz, Antoni Potocki i ja – lata 50.

Na plaży Arpoador, w tle Morro Dois Irmãos

po upływie pewnego czasu potrafiłem docenić w pełni jej piękną, bujną polszczyznę. Kresowo bujna była także jej wyobraźnia i jak często oddalona od „rzeczywistości". Jej rzeczywistością była nadal i żarliwie Polska. Polska w Rio de Janeiro.

Wkrótce potem pani Krystyna założyła Koło Młodzieży Polskiej „Świetliki". „Koło Białej Kredy" – jak je często zwała. Zebrania nasze odbywały się w wilii świętej pamięci pani Janiny Czaplińskiej, niegdyś sławnej śpiewaczki, znanej z wielkiej dobroci i serca opiekunki potrzebujących pomocy Polaków. Pani Krystyna broniła nasze Koło przed ingerencją polskich organizacji w Rio, które zamierzały włączyć nas w swoje szeregi. Niemało się w związku z tym narażała, ale wydaje mi się, że miała rację. Dzięki jej wysiłkom „Świetliki" przez długie lata zachowały samodzielność i niezmąconą intrygami kolonijnymi atmosferę. Tę atmosferę dobrze wyczuł Józef Czapski podczas swego pobytu w Rio de Janeiro, kiedy to nawiązał kontakt z Kołem i prowadził z nami gawędy na temat kultury polskiej i Norwida.

W 1954 roku pani Krystyna zorganizowała pierwsza rocznicę Koła, która odbyła się w lokalu Towarzystwa „Polonia". Do dziś piękne i barwne obchody pozostają w pamięci wielu uczestników. Następnie powstało pisemko „Świetlik" redagowane przez koleżankę Irenę Kosież. Jego korektą zajęła się pani Irena Feldhuzen, matka znanego dziennikarza Macieja Feldhuzena.

W statucie Koła zamieszczono zdanie: „celem Koła Młodzieży Polskiej Świetliki jest przygotowanie do życia przyszłego w Polsce". A był to rok 1953!

Dobrze pamiętam wieczory spędzone na czytaniu Wesela *Wyspiańskiego oraz wskazówki, jakich nam*

udzielał pan Kozankiewicz, niegdyś zawodowy aktor w Polsce. Pani Krystyna marzyła o wystawieniu tej sztuki własnymi siłami. I prawie do tego doszło. „Pani Krystyno, Pani żyje literaturą!" I tak doprawdy było. W gawędach naszych literatura i poezja były nieodzowne. Pewnego razu pani Krystyna pokazała nam wiersz dedykowany jej przez Beatę Obertyńską. Wielokrotnie opowiadała nam o swych rozmowach z literatami i artystami. Paweł Mayewski również się do nich zaliczał i gdy go odwiedziłem w Nowym Jorku, bardzo serdecznie wspominał panią Krystynę z czasów londyńskich.

Tematem głównym była jednak Polska. Polska pod zaborami, Polska POW i Legionów. Polskie walki o niepodległość, a przede wszystkim Polska Niepodległa i jej wielki wódz: Józef Piłsudski. Nam, młodym, stawały przed oczyma fakty i wydarzenia w barwnych i dramatycznych opowiadaniach pani Krystyny. W tropikalnym upale Rio de Janeiro, na tle palm i zielonych wzgórz otaczających miasto z jednej strony i odgradzających je z drugiej fal Atlantyku, odżywały w naszej pamięci wspomnienia Polski, rodziły się nowe wrażenia i wyobrażenia o bohaterstwie i o wielkości. „Wielkości – skąd twoje imię?"

Pierwszy cios trafił panią Krystynę w 1956 roku, gdy zmarł po ciężkich cierpieniach jej mąż, były wojewoda, Aleksander Hauke-Nowak, człowiek o wielkiej godności i męstwie. Nam, młodym, najbardziej imponowała jego wielka prostota i żywa troska o młodzież polską.

Działalność Koła „Świetliki" zaczęła stopniowo słabnąć. Koleżanki Oleńka i Jadzia Chmurzyńskie wyemigrowały do Stanów Zjednoczonych. Krysia Pawłowicz – do Anglii. Elżunia Barcińska wyjechała na Bliski

Wschód. Jej brat Tomek – do Pará i puszcz amazońskich. Jacek Chmielewski wyjechał do Francji. Mariela Tarnowska – do Włoch. Młodzi Potoccy i Siedlikowscy – do Kanady. Hanka Lechowska – do Peru. Ja także wyjechałem na jakiś czas z Rio i gdy wróciłem, zauważyłem, że pani Krystyna posmutniała i już nie była tą samą osobą. Po śmierci męża młodzież ze „Świetlików" stała się jedynym celem jej życia, a teraz los odłączył od niej członków Koła i rozsiał po całym świecie.

Nadszedł dzień, gdy najgorszy wróg człowieka – samotność – zwalił z nóg panią Krystynę. Dzięki staraniom księżnej Jolanty Radziwiłł umieszczono ją w sanatorium, a potem z pomocą księdza proboszcza Szwajkiewicza – w domu spokojnej starości Casa de Velhice São Luís. Tam została do końca, odwiedzana przez księdza i kilku wiernych przyjaciół. Dnia 15 października 1971 roku garstka „Świetlików" i rodaków odprowadziła ją na ostatni spoczynek.

Wspomnienia są uważane za rzecz godną tylko ludzi starych, tym niemniej największa bodajże zasługa pani Krystyny polega właśnie na tym, że potrafiła ona ożywić przeszłość, nadając jej nową i głębszą treść. Polska, którą potrafiła ona stworzyć w Rio de Janeiro, była może nierealna, ale dla nas, młodych, była ona – i na zawsze pozostanie – lepsza i prawdziwsza.

Lekcje historii polskiej prowadzone przez Mikołaja Kisiel-Kiślanskiego i lekcje muzyki w domu Adama Kozłowskiego, podczas których pan Adam zwracał nam uwagę na muzykalne zbieżności kompozytorów polskich i brazylijskich, jak również częste wycieczki w góry otaczające Rio de Janeiro, na wyspę Paquetá czy na pięk-

ne plaże w Niterói do dziś tkwią w pamięci koleżanek i kolegów „Świetlików". Pewnego razu, kiedy wracając z takiej wycieczki, płynęliśmy promem i w blasku księżyca śpiewaliśmy polskie piosenki, mieliśmy wrażenie, że brazylijskim współpasażerom podobały się te dziwne melodie śpiewane w „egzotycznym" języku.

Ponadto co roku mieliśmy wspólny opłatek w restauracji A polonesa, gdzie pani Józefa Pastusiakowa zawsze dawała nam specjalną zniżkę. Zapraszaliśmy naszego księdza Proboszcza, śpiewaliśmy kolędy i inne polskie piosenki, między innymi *Jak szybko płyną chwile...* Przy słowach „za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas" niejeden z obecnych w sercu się zadumał.

Nie tylko wydawaliśmy dość regularnie pisemko „Świetlik", ale mieliśmy nawet własną pieśń! Słowa napisała Irenka Kosież, a melodię skomponował Mikołaj Kisiel-Kiślański.

Po tak wielu latach nadal utrzymuję kontakt z kilkoma osobami z naszej paczki i – jak na obecne czasy przystoi – jest to kontakt e-mailowy… Czasami telefoniczny. Przez *WhatsApp*! Zdarzają się też sporadyczne spotkania. Z biegiem czasu poznajemy nowych ludzi, zawieramy nowe przyjaźnie, ale to, co łączy nas, „Świetlików", jest niepowtarzalne: wspólna młodość.

Niebywałą młodzieńczą przygodą była na przykład nasza wyprawa do São Paulo w celu założenia tam drugiego Koła „Świetlików". Henio Siedlikowski i ja pojechaliśmy autobusem i odbyliśmy spotkanie z tamtejszą młodzieżą, na czele której stali Adam Polakiewicz i Teresa Krasuska. Mieliśmy wrażenie, że odkrywamy nowe lądy, że w naszym wieku wszystko jest możliwe. Że niebawem we wszystkich większych miastach Brazylii będą

koła „Świetlików". Na naszą pierwszą rocznicę przybyła do Rio delegacja „Świetlików" z São Paulo.

Kilkoro „Świetlików" jest z nami w kontakcie, ale bardzo żałuję, że dzieli nas tak wielka odległość, że nie możemy usiąść sobie przy kawie i długo, długo rozmawiać. Niestety tak nieraz bywa, iż bardzo bliscy nam przyjaciele są bardzo daleko.

Jak w zamrożonym obrazie TV
uśmiechają się do mnie z fotografii
w ich spojrzeniu widać
że na pół spodziewają się
na pół wierzą,
że ta chwila kiedyś będzie odzyskana

Są bardzo młodzi
ubrani tak jak dziś już nikt się nie ubiera

Ich młodość odzywa się echem w mojej młodości
[…]
Marysia i Henio

Niestety! Jak się pisze wspomnienia w moim wieku, dotyczą one także tych, co już odeszli. Pierwsza odeszła Kasia Wieniewicz, córka straconego w Katyniu oficera. Często nas odwiedzała i entuzjastycznie popierała moje malarstwo. Bardzo z Krysią się przyjaźniły. Irenka Kosież, redaktorka naszego pisemka „Świetlik", była jednym z filarów naszego Koła. Bardzo lubiła poezję Leopolda Staffa. Ewa Czaińska-Martins, lekarka, robiła nieraz wrażenie człowieka, który kieruje się głównie rozsądkiem, ale w gruncie rzeczy była romantykiem. Rozsądnym

romantykiem. Tomek Barciński też odszedł od nas i teraz, z Nieba, pomaga nam tłumaczyć literaturę polską na portugalski. A ostatnio odeszły od nas Helena Warżyńska i Jadzia Śliwowska-Bartsch. Każde takie odejście było dla nas ciosem. W życiu ludzkim to definitywne.

„Świetliki" to nie tylko „Koło Białej Kredy", ale wynikające z niego wątki przeróżnej natury. Jednym z nich jest oczywiście wątek miłosny. A czyż mogło być inaczej w wieku, gdy każdemu – jak Mickiewiczowi – polały się „łzy, czyste, rzęsiste"? A więc kto w kim się kochał?

Skok do morza
ze skały Arpoadoru

Na piasku
ta, co go kochała
ta, którą kochał
która kochała...

– 22 –
Werther

Jakże często miłość igra z nami! Obezwładnia, upokarza, czyni z nas jej pokornego niewolnika, a jednak… Magiczna rozkosz zakochania! Ta inność, do której pragniemy się zbliżyć – więcej – z którą pragniemy się nawet złączyć. Wyobrażam sobie podziw Adama, gdy po raz pierwszy zobaczył Ewę! Na całe nasze szczęście miłość Adama nie była platoniczna. Nie, uroda Ewy go nie onieśmieliła.

Od dzieciństwa byłem kochliwy. Zaczynało się tak, że ktoś stawał się coraz bardziej obecny w moim życiu. Do-

chodziło do tego, że w sylwetce w oddali zdawało mi się rozpoznawać ukochaną istotę. Wówczas serce zaczynało mocniej bić, a potem… nie, niestety, to kto inny. Zresztą w literaturze często się o tym pisze. A kochać to swojego rodzaju literatura, a raczej poezja. Bardzo życzliwa mi pani Maria, widząc moje werterowskie zmagania, zapytała kiedyś, czy pisanie wierszy rozwiązuje moje problemy. Odpowiedziałem jej, że tak, chociaż oczywiście nic nie rozwiązywało. Wówczas nie, teraz – tak… A zresztą, kto wie?

Pierwszą obecnością sentymentalną w moim życiu była nasza sąsiadka w Warszawie. Mieliśmy oboje po siedem lat… Potem, kiedy miałem lat jedenaście, zjawiła się dziewczynka, która dzieliła z nami losy uciekinierów w jednym z obozów dipisowskich. Jej ojciec był Cyganem, matka Włoszką. W Mannheim czerwieniłem się za każdym razem, gdy w oknie po drugiej stronie ulicy zjawiała się blondyneczka. Potem była jeszcze jedna urocza dziewczyna. W Vassouras, już w Brazylii, ciemnowłosa, z długimi warkoczami. W szkole, w której pracowałem przed przyjazdem do Rio de Janeiro, córka pracującej tam Hiszpanki wydawała mi się pięknością zasługującą na najgłębsze westchnienia. Każda taka obecność, teraz już bez wyraźnych rysów twarzy, pozostała bardzo żywa w mojej pamięci.

Od osiemnastu lat w górę zaczyna się najniebezpieczniejszy okres sercowy. Tak przynajmniej było w moim przypadku. Potężnie obecną stała się w sercu moim panna Z, a potem panna Y. A następnie jednocześnie jedna i druga… Gdy powiedziałem o tym mojemu spowiednikowi, on zapytał, z którą z nich bym się ożenił. Mądre pytanie! Wszystko działo się bardziej w sferze obecności niż cielesności. Zbyt wysoki wydawał mi się cokół ich urody. Ten ogrom piękna onieśmielał mnie. Ale

jednocześnie ta obecność… Ta obecność! I ta dwuznaczność! Kocha, nie kocha?

Spotkali się towarzysko

Rozmawiali

Podczas tej rozmowy
potajemnie
niedosłyszalnie
(dla nich, dla nas)
coś sobie mówili

I nieraz w takim spotkaniu coś „niedosłyszalnie" się dzieje. Jest jakieś napięcie. I wcale nie musi to być świadome. Może już nigdy więcej się nie zobaczą, ale w tej jednej chwili zaistniała jakaś bliskość. Jakaś wzajemna obecność.

Nęka nas nie tylko dwuznaczność pochodząca z zewnątrz; ta wewnętrzna nęka nas jeszcze bardziej, zwłaszcza gdy na nasze pytanie: „Kim jestem naprawdę?" w odpowiedzi słyszymy niepokojący dwugłos. Wówczas wołamy o ratunek do Świętego Franciszka, który za nas (za mnie!) odpowiada: „Jestem, kim jestem przed Bogiem, i nic więcej!".

Nieraz bywało też i zabawnie. Oto co piętnastoletnia panna X wyznała mi po jednej z potańcówek w Towarzystwie Polonia: „Moja mama powiedziała, że nie mogę za ciebie wyjść za mąż, ponieważ jesteś biedny". Potem wyemigrowała do USA, wyszła za mąż za Amerykanina i gdy byłem w Nowym Jorku, odwiedziłem ich dwukrotnie. Urocza para.

I jeszcze z tej samej beczki. Tym razem we Włoszech. W rzymskiej restauracji przy stole siedzą senator Arnon

de Mello z żoną (ojciec przyszłego prezydenta Brazylii Fernando Collor de Mello), poseł André Franco Montoro z małżonką (minister pracy w krótkim okresie parlamentaryzmu w Brazylii, a następnie wybitny gubernator stanu São Paulo), Paulo Lacerda (prezes Instytutu IDEC) i ja. W pewnym momencie zwracam się do państwa Montoro i – ni stąd, ni z owąd – publicznie oświadczam: „Państwa córka jest fascynująca". Cisza, chwila ambarasu, a potem rozmowa nadal toczy się tak, jak gdyby nigdy nic. Zawstydzony, zamilkłem. Potem, będąc w São Paulo, kupiłem jej czekoladki na urodziny. I tak się skończył jeszcze jeden niedoszły romans. Takie sobie podziwianie na dystans. A jak to możliwe, że ja, młody, biedny, niepozorny polski emigrant zabłąkałem się w tak wysokie progi? Stało się to w związku z moją „pracą polityczną", ale o tym nieco dalej.

Zakochani potrafią ryzykować. Pewnego razu Jacek Chmielewski wybierał się do Cabo Frio na motocyklu, a więc poprosiłem go, by mnie tam podwiózł. Starając się utrzymać równowagę na wąskim siodełku, by nie spaść z motocykla – zwłaszcza gdy trzeba było przechylić się raz w jedną stronę, raz w drugą na ostrych zakrętach – w końcu szczęśliwie dojechaliśmy do celu. W latach 50. wiele z tamtejszych plaż było jeszcze dziewiczo pięknych. Czasami nawet poza naszą nieliczną gromadą nikogo innego na takiej plaży nie było. Ale minęła sobota, minęła niedziela, a dziewczyny, dla której zaryzykowałem me życie, nie spotkałem. Frustracja! Powstał za to wiersz…

Poranek w Cabo Frio
o wschodzie słońca

Ty i ja

Więc najpierw te okresy, kiedy przeważały uduchowione obecności – choć niewyłącznie! – a potem okresy bardziej cielesne. Brazylia to tropik i kraj potężnie przyciągającego piękna.

Avenida Atlântica
Na chodniku ciała
Na piasku zakochane pary
Księżyc zmierzający do pełni
Zapach morza
Mokry powiew

Pan Bóg miłosiernie tak zrządził, że napór gwałtownej zmysłowości nastąpił, kiedy zacząłem się już bardziej kierować w życiu – choć niewyłącznie – zasadami, a nie instynktami. Poza tym to, co nas tu i tam nieraz przyciąga, gdy w końcu dochodzi do jego realizacji, pozostawia czasem gorzki smak transgresji, a nawet lęk, że to rozkoszne-bolesne może znowu się powtórzyć. Do końca życia pewne skłonności nas prześladują (a my je?!) i do końca życia trwają te zmagania. Ale są i tacy szczęśliwcy, których to omija.

Jestem istotą rozszarpaną
poćwiartkowaną

Każda z tych części
kroczy w przeciwnym kierunku
to, co zmysłowe
to, co racjonalne
to, co uczuciowe
i to, co duchowe

ciągną
pchają
walczą ze sobą
zawierają pokój

[…]

W końcu jestem wdzięczny
za ten czworokąt mego bytu

W dalszej perspektywie
obiecuje mi całość

Pozą urodą fizyczną Brazylia uwodzi nas pięknem dobrych, życzliwych ludzi. Wszyscy i wszystko jest tu urokliwe.

– 23 –
Krysia I

Chińczycy twierdzą, że każde małżeństwo decyduje się na pięćset lat przed jego zawarciem. Albo jak mówią na Bliskim Wschodzie, *Kismet* (przeznaczenie) lub *Maktub* (tak ma być). Dziś już nie mam wątpliwości, że doprawdy tak jest.

Dzwonię do drzwi mieszkania na Praça do Lido w Rio. Drzwi otwiera jedenastoletnia jasnowłosa dziewczynka. „Czy pan Jan jest?" „Mamo, pan chce mówić z tatą". Chciałem mówić z panem Janem Schulzem, ponieważ wówczas pomagałem pani Julii Barcińskiej w inkasowaniu prenumerat dla paryskiej „Kultury". Chodziłem od domu do domu i z tego miałem mały procencik. Dlaczego do dziś pamiętam właśnie tamten dom, a nie te inne?

Krysia tańczy mazurka – ok. 1949 r.

W 1963 roku, dokładnie 28 grudnia – a więc dziesięć lat po tym otwarciu drzwi – mamy zebranie młodzieży w naszym polskim kościółku. Z inicjatywy księdza proboszcza Zygmunta Szwajkiewicza spotkania „Świet-

Rodrigo, Andrea, Rafael i Isabella

Spotkanie rodzinne. W pierwszym rzędzie: Valeria, Ania, Lucas, Rodrigo i Carlos. W drugim rzędzie: Camila, Krysia, ja, Rafael, Andrea i Isabella

Z Michałkiem, Krysią i Jasiem

Z Krysią

lików" zostały wznowione. Na szczęście (Kismet? Maktub?) Basia Warchałowska namówiła Krysię Schulz, by też przyszła. Krysia miło się do mnie uśmiechnęła, a ja ją zapytałem: „Wrócisz?". Wróciła.

Po Wielkiej Nocy w 1964 roku zaczęliśmy „namorować" (port. *namorar*), czyli zalecać się. Prawda, że lepiej to brzmi po portugalsku? Złożyłem oficjalną wizytę moim przyszłym teściom. Powiedziałem im, że jeśli nie mają nic przeciwko temu, to wesele może odbyć się za… tydzień. Delikatnie mi wyperswadowali, żeby może jednak… trochę poczekać? Ślub odbył się 18 lutego 1965 roku. Błogosławił nam ksiądz Zygmunt Szwajkiewicz, a druhną Krysi była Halina Siedlikowska – pierwsze dziecko pierwszego małżeństwa w gronie „Świetlików", Henia i Marysi. Do dziś słyszę prorocze słowa księdza Zygmunta: „Będzie wam pięknie i łatwo, będzie wam nieraz bardzo trudno, ale Pan Bóg zawsze was będzie miał w swej pieczy". W 1966 roku, 2 marca, urodziła się Isabella. W 1967 roku, 2 grudnia – bliźnięta Rodrigo i Andrea. Wreszcie, bo po upływie trzynastu lat, 31 grudnia 1980 roku urodził się Rafael. Wnuk Lucas, syn Carlosa i Andrei, studiuje medycynę i świetnie sobie radzi, a wnuczka Anna, córka Rodriga i Valérii, ma już osiemnaście lat. Rafael i Camila podarowali nam João i Miguela (Jasia i Michałka). Bliźniaki urodziły się 29 stycznia 2013 roku.

Moja teściowa Anna miała szkołę baletu w Rio i często tam bywałem, gdy Krysia udzielała dziewczynkom lekcji. Nie mogłem się na nią napatrzeć! A czy właśnie nie tak, od zachwytu, zaczyna się zakochanie? Ile urody, ile wdzięku w każdym jej ruchu!

Anna Schulz była przed wojną wschodzącą gwiazdą polskiego baletu, a Jan Schulz radcą ministerialnym w MSW i wybitnym prawnikiem. Teść miał niemieckie

nazwisko Schulz, a jego matka, Anna, była z domu von Sendbusch. Tak, niejedna kropla niemieckiej krwi krąży w żyłach naszej rodziny.

W 1939 roku Jan Schulz współdziałał w organizowaniu ewakuacji rządu polskiego do Rumunii. Zawierucha wojenna rozdzieliła młodą parę Schulzów, którzy cudem odnaleźli się we Francji, w małej miejscowości Saint-Jean de Lus, w dniu świętego Jana… Ich dzieje mogłyby służyć jako jeszcze jeden nieprzeciętny scenariusz do filmu o tamtych czasach. Potem przez Portugalię przybyli do Brazylii i zmagali się, jak prawie wszyscy, z trudnymi początkami życia emigracyjnego. Mój teść przez pewien czas pracował nocami w lodowni portowej, gdzie przechowywano mięso. Po urodzeniu Krysia dość długo przebywała w szpitalu. Aż dwanaście dni! Problemy zdrowotne? Nie, po prostu dopiero po jakimś czasie udało się teściom zdobyć odpowiednią sumę na pokrycie związanych z porodem wydatków.

Przez szkołę baletu Anna Baliska przewinęło się kilka tysięcy uczennic, a więc niemały był udział mojej

José buduje dom w Niterói

teściowej w wychowaniu fizycznym kilku pokoleń młodych Brazylijek. Byliśmy obecni na uroczystości w Teatrze Miejskim, podczas której Anna Baliska-Schulz otrzymała medal za jej wkład w rozwój sztuki baletu w Brazylii. Szkoła nazywała się Anna Baliska na cześć babki Krysi, Anny Schwarz, z domu Balickiej. Wielka była w rodzinie radość, gdy dziadek stryjeczny mojej teściowej, Jan Balicki, został ogłoszony błogosławionym przez Jana Pawła II podczas jego pielgrzymki do Kraju. Święty w rodzinie? Nie każdy może się tym pochwalić… Lecz z drugiej strony to nie lada wyzwanie i teraz już nie mamy wyboru: cała rodzina Łychowskich musi dążyć do świętości!

– 24 –
„Ojcze Święty!"

À propos św. Jana Pawła II, to najbardziej się do niego zbliżyliśmy przez księdza Stanisława Starowieyskiego, który był jego kolegą z seminarium i gdy Ojciec Święty przyjeżdżał do Brazylii, był przez niego zapraszany na kolację. A ponieważ my zapraszaliśmy na kolację księdza Stanisława… Wypytywaliśmy go zawsze o szczegóły. Była to bliskość z naszym wielkim rodakiem poprzez serce jego przyjaciela. Za każdym razem, kiedy św. Jan Paweł II przebywał w Brazylii, wpadaliśmy w euforię. Od tego pierwszego w 1980 roku, gdy atletycznie przemierzył cały kraj wzdłuż i wszerz, aż po ten ostatni w 1997, gdy powolutku i z wielkim trudem wchodził po stromych schodach do samolotu. Widząc ten jego nadludzki wysiłek, płakałem jak bóbr. Ale też utkwiło w naszej pamięci to, jak na jednym ze spotkań z wier-

nymi, uśmiechając się filuternie, wywijał laseczką niczym Charlie Chaplin.

Ksiądz Starowieyski był bardzo skromnym i uduchowionym kapłanem. Kiedy go odwiedziłem w szpitalu, gdzie był operowany, leżał wśród innych biednych w dużej sali szpitalnej. I to go uratowało, albowiem gdyby nie jeden z jego współtowarzyszy, który w nocy zawołał na alarm, to źle by się skończyło.

Ale byliśmy też niedaleko Jana Pawła II „wikarialnie": poprzez nasze dzieci. Ubrane w krakowskie stroje, były bardzo blisko papieża i zgodnie podkreślały, że biła od niego nadprzyrodzona moc. A pewnego razu nawet i mnie udało się krzyknąć: „Ojcze Święty! Ojcze Święty!", wymachując polską flagą.

– 25 –
Krysia II

Teściowie przyjaźnili się z Chmielewskimi i by dowiedzieć się coś niecoś o tym Tomaszu, co spadł jak grom z jasnego nieba, zapytali ich – jak to zatroskani rodzice zrobić powinni – jak ja sobie daję radę finansowo. „Wiemy tylko tyle, że jakoś zawsze sobie radzi" – odpowiedzieli moi kochani przyjaciele. Opowiedział mi o tym mój teść, już po ślubie. Szczerze mówiąc, moi teściowie byli wyjątkowo wspaniałomyślni. Ryzyko było niemałe! Żeniąc się, nie miałem przecież ukończonej szkoły średniej ani też żadnego konkretnego zawodu.

Myślę, że po ślubie trochę dojrzałem, ale to głównie Krysi zawdzięczam nieco większą równowagę egzystencjalną. Krysia potrafi zawsze dotrzeć do sedna sprawy. Ale zasadniczym rysem jej osobowości jest niewątpliwie

Krysia w dniu ślubu

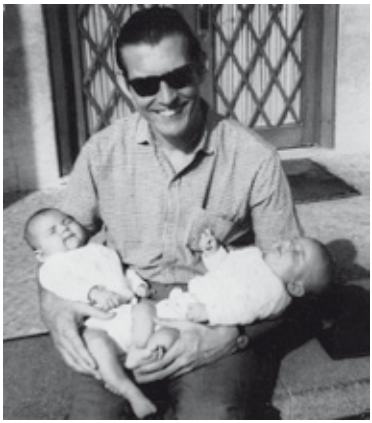

Z bliźniętami

Isabella, Jan Schulz, Anna Schulz, bliźnięta Andrea i Rodrigo

Przerwa w lekcji baletu: Isabella z babcią Hatą (Anną Schulz)

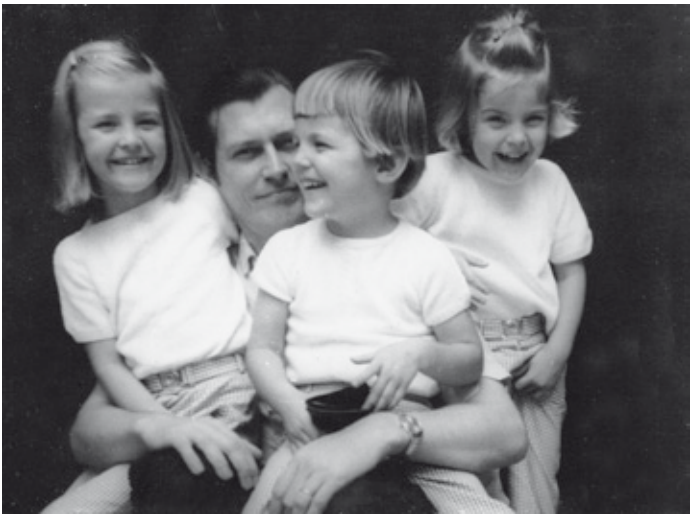

Isabella, ja , Rodrigo i Andrea

Andrea, Rafael, Isabella, Rodrigo i jamnik Alan

wielkie serce. Zawsze znajdzie kogoś, kim mogłaby się zaopiekować. Wszystkie zwierzątka i rośliny ma także w swojej pieczy.

Po córce Isabelli odziedziczyłem talent pisarski, z tym, że Isabella pisze o wiele lepiej niż ja. Pomogła mi w tłumaczeniu moich tomików wierszy i innych tekstów, a także dba o mój wizerunek „medialny". Właśnie jej zawdzięczam to, że hołd dla moich rodziców w TV Brasil jest oglądany na wszystkich prawie kontynentach. Umieściła go na YouTube jako prezent na gwiazdkę. Udzieliła mi też wiele cennych wskazówek przy pisaniu tych wspomnień. Rodrigo odziedziczył z kolei mój romantyczny idealizm. Jest jednocześnie polskim i brazylijskim patriotą, fanem Wajdy, Conrada, Baumana, Kołakowskiego i innych luminarzy polskiej i brazylijskiej kultury. Na uniwersytecie, gdzie wykłada prawo pracy, jest czynnym związkowcem. Bardzo czuły na wszelkiego rodzaju niesprawiedliwość, zawsze jest gotów ją zwalczać. Wydał już kilka książek o prawie pracy. Andrea, siostra bliźniaczka Rodrigo, i najmłodszy z dzieci Rafael są życiowo wyjątkowo dojrzali. Można spokojnie zasięgnąć u nich rady w sprawach, które wymagają dużej rozwagi. Często to zresztą robię. W pracy zawodowej wyraźnie się wyróżniają i robią postępy. Andrea jest urodzonym psychologiem i pewnie dlatego tak dobrze sobie radzi z małymi dziećmi, ale z tymi starszymi też… Nic nie ujdzie jej uwadze. Rafael podejście do życia ma matematyczne, czyli rozsądne, ale ponieważ nie jest tylko matematykiem, ale ma przede wszystkim bystry, wnikliwy umysł, nie wyklucza tych spraw, które wychodzą poza zakres nauk ścisłych. To właśnie Rafael podsunął mi pomysł napisania tych wspomnień. Mam nadzieję, że nasz

zięć Carlos i nasze synowe Valéria i Camila potwierdzą opinie dumnego ze swoich dzieci taty.

Czy to znaczy, że zawsze było i jest beztrosko, że nie ma problemów? Były, są i będą. Któż ich nie ma?

Nasze dzieci wiedzą, że na protekcję raczej liczyć nie mogą. Są dziećmi emigranta bez zaplecza, jakiego normalnie nie brak u rodzin od dawna zadomowionych w danym kraju. Każdy z nich jest wspaniałym przyjacielem. Święta żona, święte dzieci. Święta cała rodzina. Nie wiem tylko, jak im się to przytrafiło, że to ja jestem mężem Krysi i ich ojcem. Puste słowa? W moim wieku? To luksus.

– 26 –
Bocaina

Z Vassouras przywiozłem do Rio świadectwo ukończenia szkoły podstawowej, które z wielkim mozołem uzyskałem, pracując w szkole Ginásio de Vassouras. Już w Rio zacząłem chodzić na kursy wieczorowe przygotowujące do *Artigo 91*, czyli egzaminu małej matury, który dzięki temu mogłem zdać bez uczęszczania regularnie do szkoły. Ponieważ cały dzień pracowałem, była to w owych czasach jedyna dla mnie możliwość szkolnego awansu. Niestety okazało się, że zdrowie zaczyna szwankować. Było podejrzenie, że mam początek gruźlicy. Wobec tego przyjaciele Chmielewscy znaleźli dla mnie pracę w górach na wysokości 1300 metrów, na fermie Henryka Spitzmana-Jordana, którą zarządzał ich przyjaciel Juliusz Targowski. Moim poprzednikiem był Józef Mycielski, poeta-emigrant. Tam fizycznie „rozkwitłem", gorączka przestała mnie nękać, ale za to czułem

się całkowicie odcięty od świata, a przede wszystkim od młodego towarzystwa. W dzień jeździłem konno do puszczy, by tam odbierać wyciosane podkłady kolejowe, które potem zjeżdżały do miejscowości Bananal.

Ścieżka wyrąbana w puszczy

Wyciosany podkład kolejowy
wąż wysuwający się ze spodu

Wyżej
orzeźwiające źródło
kryształowe

Pokój i cisza
puszczy
która jest, której nie ma

Odludzie Bocaina
łańcuch górski

Serra do Mar

Okres spędzony na Bocainie przerwał chwilowo moje plany naukowe. Dużo wtedy czytałem, a ponieważ pan Juliusz, (powszechnie znany jako Lul) prenumerował paryską „Kulturę", rozkoszowałem się publikowanym w niej *Dziennikiem* Gombrowicza. Ciekawe „długie nocne rodaków rozmowy" z panem Lulem przy lampce karbidowej, a w zimowym lipcu (tak! w lipcu jest nasza „zima") przy kominku urozmaicały to moje tymczasowe wygnanie. W pamięci został pokryty białym szronem górski krajobraz Bocainy.

Pewnego dnia przyjechali tam na kilka dni państwo Rago z São Paulo. Pani Wanda Rago zainteresowała się moim losem i zaproponowała mi zorganizowanie w São Paulo zbiórki funduszy, które miałyby umożliwić mi dalsze studia. Wiele lat później pan Lul pokazał mi rękopis jego wspomnień i wtedy wszystkie te wydarzenia i kochane osoby znowu barwnie odżyły. Lul Targowski i państwo Rago to bardzo kochani przyjaciele.

– 27 –
Nauka

Po kilku miesiącach spędzonych u pana Lula dostałem zatrudnienie w Rio w warsztacie samochodowym pana Jerzego Szapiry. Było to zupełnie nowe doświadczenie. I dobrze dostałem po głowie, zanim się nauczyłem, jak ta czy inna część wymienna się nazywa! Po kilku miesiącach – dobra wiadomość! Pani Wanda Rago napisała mi w liście, że udało jej się zmobilizować kilka osób w São Paulo i że będę regularnie otrzymywać stypendium na kontynuację studiów, aż do uzyskania małej matury. Przestałem pracować i wziąłem się poważnie do nauki. Stypendium było raczej skromne i nieraz wystarczało mi jedynie na jeden posiłek dziennie. Szukałem zatrudnienia na pół dnia, ale bez skutku. Ale potem przyszła kolejna dobra wiadomość: pan Aleksander Hauke-Nowak powiedział mi, że na jego wniosek Skarb Narodowy w Londynie także przyznał mi stypendium! Wojewoda Hauke-Nowak w Rio oraz major Reutt w Londynie bardzo energicznie w tej sprawie działali. I pojawił się dylemat! Czy byłoby uczciwie z mojej strony otrzymywać jednocześnie dwa stypendia? Zrezygnowałem z prywatnego stypendium państwa Rago

i ich przyjaciół i przyjąłem oficjalne stypendium od rządu londyńskiego. Kochana pani Wanda bardzo nalegała, żebym miał i jedno, i drugie – i jakże miała rację! Będąc na jednym tylko stypendium, w dalszym ciągu stać mnie było zaledwie na jeden posiłek dziennie.

W 1956 roku, w wieku dwudziestu dwóch lat, mogłem wreszcie przedstawić panu Aleksandrowi świadectwo małej matury. Ale nie obyło się bez emocji. Ostatni egzamin był z matematyki. Tak fatalny był pisemny, zwłaszcza z geometrii, że nie czekając na wynik, wyjechałem z Rio, by jakoś dojść do równowagi i się rozerwać. Gdy wróciłem – niespodzianka: otrzymałem trójkę, niezbędne minimum uprawniające do zdawania egzaminu ustnego. Sala pełna kandydatów i w kolejności alfabetycznej wywołują uczniów do tablicy, by wylosowany temat każdy z nich mógł logicznie wyłożyć. Na całe szczęście tematów było tylko dziesięć, a litera „T" – jedną z ostatnich. Pilnie śledziłem poczynania moich kolegów i gdy przyszła na mnie kolej, powtórzyłem te same wywody, które – na całe szczęście poprawnie – przedstawił jeden z moich poprzedników. Udało się! Aby zdać, musiałem otrzymać 7. Otrzymałem 7.5, czyli moja średnia wynosiła 5.25. To były moje ostatnie w życiu egzaminy z matematyki. Jak w słynnym poemacie Edgara Allana Poe, powiedziałem sobie: *Nevermore!*

Z dużą maturą miałem wielkie szczęście. Tym razem nazywała się *Artigo 99*, a nie jak poprzednia *Artigo 91*. Też można było zdawać egzaminy z różnych przedmiotów bez regularnego uczęszczania do szkoły. I, co ważniejsze, można było zdawać na raty. Uczyłem się praktycznie na własną rękę i zdawałem egzaminy z przedmiotów wtedy, kiedy uważałem, że już jestem do nich przygotowany.

A najważniejsze z tego wszystkiego było to, że można było wybierać między przedmiotami humanistycznymi a matematyką, fizyką i chemią. Wybrałem dwa języki obce, filozofię i biologię zamiast tych znienawidzonych przeze mnie przedmiotów z nauk ścisłych. Do egzaminu z biologii wkuwałem na pamięć nazwy przeróżnych glist, insektów i mikrobów. Już nic z tego nie pamiętam. Oczywiście to wszystko trwało bardzo długo. Zbliżałem się już do trzydziestki… Został się już tylko jeden, ostatni egzamin – z niemieckiego. Chodziłem do szkoły, pytałem się o datę egzaminu, ale sekretarz jakoś nie mógł jej wyznaczyć. W końcu – po upływie kilku miesięcy – przyznał się: „Nie mamy nauczyciela języka niemieckiego. Ale jeśli ci to odpowiada, to jutro możesz przyjść na egzamin z języka… hiszpańskiego". Jutro? Hiszpański? Do ryzykantów świat należy – a czemuż nie? Następnego dnia miałem egzaminy pisemny i ustny z dwojga nauczycielami języka Cervantesa. Zdałem. Nawet mnie chwalili, że akcent mam niezły…

Następny etap: wyższe studia. Pan Bóg zlitował się nade mną i zafundował mi ścieżkę do nich znacznie skróconą. Przez wszystkie te lata uczyłem się angielskiego: najpierw w IBEU, a potem w Cultura Inglesa. W 1961 roku zdałem egzaminy *Proficiency* w Cultura Inglesa, która była ośrodkiem Uniwersytetu Cambridge w Rio. Świadectwo *Certificate of Proficiency in English* uprawnia w Brazylii do uczenia w szkołach średnich. *Proficiency* jest zaliczany jako trzyletni kurs anglistyki na uniwersytetach brazylijskich, a więc jeszcze przed maturą w roku 1964 już miałem ukończone wyższe studia… Do rejestru w Ministerstwie Oświaty brakowało mi tylko rocznego kursu pedagogiki. Byłem w siódmym niebie! Zapisałem się

na Katolicki Uniwersytet w Rio i pomimo tego, że było nieraz bardzo ciężko uczęszczać na lekcje od godziny siódmej rano do południa, to sam fakt, że tak daleko dobrnąłem, był dla mnie równoznaczny z uzyskaniem medalu olimpijskiego. Po południu pracowałem właśnie w tej Cultura Inglesa, w dość odległym punkcie miasta, i wracałem do domu koło dziesiątej wieczorem. Wcześnie rano wszystko zaczynało się od początku. Isabella miała wówczas zaledwie kilka miesięcy i nieraz budziła mnie w nocy z apelem o smoczek. Ale warto, jakże warto było czuć się nareszcie w głębokim nurcie życia. W dniu moich urodzin, 26 września 1966 roku, składałem dyrektorowi Wydziału Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu, księdzu Benko, moje przyrzeczenie, by wiernie i rzetelnie sprawować zawód nauczycielski.

W 1970 roku zdałem następny egzamin Cambridge: *Diploma of English Studies*, a potem byłem na jeszcze kilku innych kursach podyplomowych związanych z nauczaniem języków obcych. Jeden z ciekawszych i chyba najbardziej rewolucyjny, choć bardzo krótki, odbył się na University of Manchester w 1976 roku.

Moja praca zarobkowa też była różnorodna. Jak już wspomniałem, pierwsza w szpitalu w Vassouras, następnie w szkole Ginásio de Vassouras, po przybyciu do Rio – w Panambra, potem na fermie Bocaina u Spitzmana. Potem z kolei w warsztacie samochodowym Auto Palácio. Następnie zatrudniony byłem jako pomocnik biurowy w przedstawicielstwie samochodów zagranicznych i od 1956 do 1959 roku pracowałem w biurze Wacława Fedorowicza, który był arbitrem awarii morskich. Można powiedzieć, że u pana Wacława postawiłem pierwsze kroki, by nauczyć się konkretnego zawodu. Od 1959 do

1963 roku pracowałem w Ajax Corretores de Seguros S.A., czyli w ubezpieczeniach. Przez krótki okres w 1963 roku pracowałem po raz pierwszy jako nauczyciel w Cultura Inglesa. Zaangażował mnie tam Polak, pan Piotr Paweł Kranc, który wówczas był jednym z kierowników Cultura Inglesa.

– 28 –
Polityka...

Od 1956 roku zacząłem zajmować się polityką. A stało się to w następujący sposób. Przez Józefa Czapskiego w 1955 roku nawiązałem kontakt ze Staszkiem Gebhardtem, który wówczas mieszkał w Paryżu i był sekretarzem generalnym międzynarodowej chrześcijańsko-demokratycznej młodzieżówki. Pan Józef chciał mi w ten sposób pomóc w moich studiach i pewnie myślał, że znajdą się tam jakieś fundusze na ten cel. W 1956 roku odbył się w São Paulo międzynarodowy kongres chadecji i do Brazylii przybyli z Europy Konrad Sieniewicz i Staszek Gebhardt. Konrad Sieniewicz wyróżnił się w powstaniu w 1944 roku, a potem był cenionym politykiem emigracyjnym i międzynarodowym. Karola Popiela, prezesa Stronnictwa Pracy, poznałem w 1963 roku w Rzymie, gdy zapragnął on zapoznać się z naszymi pomysłami *à propos* Chrześcijańskiej Demokracji w Brazylii. Zostałem zaproszony na ten kongres w São Paulo i tam, w imieniu polskiej delegacji – jako że byłem jedynym, który znał język portugalski – wygłosiłem krótki tekst. Ze Stanów Zjednoczonych przybył Janusz Sleszyński, prezes Centro de Acción Demócrata Cristiana. Pod koniec lat 50. proponowali mi, bym stanął do wyborów

na radcę miejskiego w Rio de Janeiro z ramienia PDC, ale w końcu do tego nie doszło. Podobna sytuacja miała miejsce jeszcze później, kiedy poseł federalny Álvaro Valle zachęcał mnie, abym został kandydatem na posła stanowego. Jednak taka przygoda wymaga przecież nie lada funduszy, a ja takiego poparcia nie miałem. Ponieważ organizowałem dla Álvara Vallego spotkania wyborcze z młodzieżą polską i brazylijską, być może uważał on, że ja miałbym też jakieś szanse w wyborach.

– 29 –
„Tomaszu, bądź wierny!"

W São Paulo poznałem także Piotra Wróblewskiego, artystę malarza, który pewnego dnia zjawił się na kongresie. Wówczas malował on na zamówienie kolonii polskiej w São Paulo obraz nad ołtarzem w polskim kościele i zapewnił mnie, że służyłem mu jako model dla jednej z głów świętych. Do dziś nie miałem odwagi tego sprawdzić… Piotr postanowił wrócić do Polski i tam działać na rzecz demokracji. Pamiętam, że bardzo raziło go to, że na każdym kroku w São Paulo i w Rio de Janeiro widać było potężne gmachy bankowe. Kapitalizm potrafi dać się we znaki. Przed powrotem do Polski był na dorocznym spotkaniu wigilijnym „Świetlików" i dał mi w prezencie Ewangelię. „Tomaszu, bądź wierny!", rzekł. Postawiłem Ewangelię na półce i tam, nietknięta, kilka lat na mnie czekała.

W 1957 lub w 1958 roku dzwoni do mnie z hotelu Glória nie kto inny, jak pan Stanisław Stomma, który przybył do Brazylii na zjazd parlamentarzystów. Mój numer telefonu dał mu właśnie Piotr Wróblewski. By-

łem u niego w hotelu i mieliśmy dość długą rozmowę. A raczej to pan Stomma mówił prawie cały czas, chcąc mnie przekonać, że rola emigracji nie polega na wywijaniu szabelką. Należy raczej popierać inicjatywy ekonomiczne, dialog polityczny. Ja, wówczas jeszcze bardzo młody, należałem do tych „niezłomnych", jak najbardziej wywijających szabelką…

W owych czasach nie orientowałem się ani kim był Popiel, ani Sieniewicz, ani Stomma, ale trudno się temu dziwić. Dzieje przedwojenne Polski były mi nieznane, a powojenne były naznaczone żelazną kurtyną, nie tylko tą fizyczną, ale przede wszystkim tą psychiczną. Po 1945 roku z nieufnością odbieraliśmy wszystko, co szło od Wschodu.

– 30 –
Polityka II

W maju 1962 roku pojechałem na następny kongres, tym razem do Caracas. W polskiej delegacji był też Jurek Kulczycki z Londynu. Jego słynny przodek był tym Kulczyckim, który otworzył pierwszą kawiarnię w Wiedniu i rozpowszechnił „nawyk" picia kawy, która to w krótkim czasie podbiła stolicę Austrii. Jurek Kulczycki jako dyrektor polskiego wydawnictwa w Londynie miał niemałe zasługi. W „Gazecie Wyborczej" z 22 września 2007 roku wyczytałem następującą o nim wiadomość:

> *„Orbis" (Orbis Books Ltd.) działający w Wielkiej Brytanii od lat 40. ma największy w Londynie zbiór antykwaryczny książek emigracyjnych.* […] *W okresie rządów komunistycznych w Polsce zajmował się także*

Międzynarodowy Kongres Chadeckiej Młodzieżówki, Caracas – 1962 r.

> *przerzutem polskich książek niedopuszczonych do obiegu.* […] *Pod szyldem siostrzanego wydawnictwa „Odnowa" ukazało się około stu tytułów* […].

Jeszcze jeden Polak w naszej delegacji, George Kossowski, mieszkał w stolicy Wenezueli. Otwarcia kongresu dokonał prezydent Wenezueli, Rómulo Betancourt. W Caracas wrzało politycznie i Rafael Caldera, z tamtejszej chadecji, szykował się do wyborów prezydenckich w Wenezueli. To jemu z kolei przypadło dokonać zamknięcia kongresu. Na kongres chadeckiej młodzieżówki zjechali się przedstawiciele z wielu krajów, a nasz Staszek Gebhardt został wybrany generalnym sekretarzem tej organizacji. Byłem bardzo dumny z tego, że to Polak ma tak ważną funkcję na światowej arenie. Po tym kongresie zaproponowano mi, bym „profesjonalnie" włączył się do działań promujących chrześcijańską

demokrację w Brazylii. Aby ułatwić mi kontakty polityczne, mianowano mnie brazylijskim przedstawicielem Judca – Juventud Demócrata Cristiana de América, czyli chadeckiej młodzieżówki. Poleciałem pod koniec 1962 roku do Nowego Jorku i przez ośrodek kierowany przez Janusza Sleszyńskiego zostałem przedstawiony kierownikom amerykańskiej fundacji, która miała nas finansowo wspierać. Ale zanim to się stało, zasięgnąłem rady u mojego spowiednika, ojca Lucasa Moreira Neves, dominikanina, z którym miałem regularne rozmówki po wyjeździe ojca Antoninusa. Mój spowiednik zapytał z kolei związanego z brazylijską chadecją i reprezentującego lewicujący Kościół w Brazylii Alceu Amoroso Lima, czy ci emigracyjni działacze i intelektualiści „to dobra firma". Tristão de Athayde, bo takie było jego *nom de plume*, poznałem właśnie na wspomnianym kongresie w São Paulo. Odpowiedź była pozytywna. Sam Alceu Amoroso Lima był nadzwyczajną „firmą" i powszechnie cenionym profesorem i krytykiem literatury, który wraz z Gustavo Corção, pomimo ich ideologicznie odmiennych poglądów, reprezentował szczyty katolickiej inteligencji w Brazylii.

Kiedyś miałem okazję pokazać profesorowi Alceu jeden z moich niedługich tekstów, a on, bardzo życzliwy, dopisał do niego swój komentarz. Poradził mi, bym unikał pisania o sprawach religijnych w sposób zbyt jaskrawy, bezpośredni. Według niego ten temat powinien pojawiać się w sposób dyskretny. Raczej powinien przeświecać przez słowa, a nie razić mocnym blaskiem. To było dawno temu. Kiedyż to nauczę się słuchać dobrych rad?

Nasz przyjaciel, ojciec Lucas, został potem jednym z najbliższych współpracowników Jana Pawła II,

prymasem Brazylii, a także – dzięki jego talentom pisarskim – członkiem Brazylijskiej Akademii Literatury. Gdy był jeszcze biskupem pomocniczym w São Paulo, napisałem do niego list z prośbą i pytaniem, czy przyjeżdżając do Rio, nie zechciałby ochrzcić naszych bliźniaków, Rodriga i Andrei. I tak też się stało. Chrztu udzielił w naszym polskim kościółku. Wiele lat później, gdy zatelefonowałem do niego do Rzymu, był już bardzo ciężko chory. Jestem mu niezmiernie wdzięczny za to, że zawsze popierał moje projekty kształceniowe.

Wówczas chciałem się upewnić jedynie co do powagi tego „politycznego" przedsięwzięcia, ale dziś nie zaryzykowałbym porzucenia dobrej posady ze wszystkimi społecznymi gwarancjami dla ideowego zamku na lodzie. Z drugiej zaś strony nie żałuję, że było mnie jednak stać na to młodzieńcze palenie mostów czy okrętów.

– 31 –
IDEC I

Następny etap, już bardziej ambitny, tej pracy politycznej polegał na założeniu w Rio de Janeiro IDEC-u, Instituto para o Desenvolvimento Comunitário, którego celem była formacja nowych kadr dla brazylijskiej chrześcijańskiej demokracji. Podobny instytut istniał w Bonn dla niemieckiej chadecji i w Caracas dla wenezuelańskiej. Znowu udałem się do Nowego Jorku i przez miesiąc pracowaliśmy nad projektem tego instytutu. W powrotnej drodze zatrzymałem się w Caracas, by zaznajomić się z funkcjonowaniem IFEDEC-u (Instituto de Formación Demócrata Cristiana), na którego czele stał Aristides Calvani, człowiek wybitny, według mnie jedyny święty

polityk, którego miałem zaszczyt w życiu poznać. Gdy w naszym IDEC-u w Rio nastąpił kryzys na tle nieporozumień i sprzecznych koncepcji, spowodowany także moim brakiem wyrobienia politycznego, Aristides Calvani, w odpowiedzi na mój dramatyczny list, z wielkim poświęceniem i specjalnie w tej sprawie osobiście przybył do nas, by jakoś ten kryzys zażegnać. Mógł przecież po prostu załatwić tę sprawę korespondencyjnie.

Był on kilkakrotnie posłem na sejm, a następnie senatorem i ministrem spraw zagranicznych Wenezueli za prezydentury Rafaela Caldery. Niestety, wraz z żoną zginął w wypadku samolotowym. Zajrzałem w tej chwili do Google'a, by sprawdzić, czy po tylu latach poprawnie napisałem jego nazwisko, i przeczytałem z wielką satysfakcją i radością, że proces beatyfikacyjny Aristidesa i jego żony jest w toku. Gdyby nie ten wypadek samolotowy, prawdopodobnie Aristides Calvani zostałby wybrany Prezydentem Wenezueli i – kto wie? – losy tego bliskiego mi kraju zupełnie inaczej by się potoczyły. Do dziś z wdzięcznością i z pietyzmem chowam jego list, pisany po jego powrocie do Caracas.

Przeniosłem się do Brasilii, by być w bliższym kontakcie z dyrekcją partii PDC (Partido Democrata Cristão) i poznałem tam ciekawych ludzi. Niewątpliwym, wyróżniającym się liderem był André Franco Montoro i to on poradził mi nawiązać kontakt w Rio z Paulem Lacerdą, by go namówić na prezesurę IDEC-u. W Brasilii poznałem też posła Plínio de Arruda Sampaio, posła Jeremiasa Fontes i jeszcze kilku innych. O ile Franco Montoro reprezentował centrum PDC, to Plínio był bardziej lewicowy, a należący wówczas do krajowej dyrekcji partii marszałek Juarez Távora reprezentował raczej prawicowe poglądy.

Smutno się to wszystko skończyło po zamachu stanu w 1964 roku. Kilku z nich musiało opuścić Brazylię i pójść na wygnanie, inni z kolei zajęli wysokie stanowiska w dyktaturze wojskowej. I jedni, i drudzy byli ideowi. I jedni, i drudzy wierzyli, że najlepiej służą swojemu krajowi. Nie, większość z nich to nie byli karierowicze. Po prostu wierzyli, że ich *credo* polityczne jest słuszne i prawdziwe. Ale złowroga dyktatura sprawiła, że wątłe ideologiczne i międzyludzkie więzy pękły. I na tym właśnie polegała cała tragedia tych czasów.

PDC była liczbowo niewielką partią, ale kilku polityków brazylijskiej chadecji zajęło bardzo poważne stanowiska w strukturze państwowej przed, w czasie i po dyktaturze wojskowej. Myślę, że tak się stało, ponieważ nie byli to wyłącznie politycy zawodowi i poza drygiem do polityki przyświecał im ideał dobra wspólnego.

– 32 –
Pauza

By nie pisać tylko o tym, co ich potem dzieliło, opowiem o zabawnym wydarzeniu, w którym miał udział poseł Jeremias Fontes. Po powrocie do Rio, by tam współdziałać w tworzeniu IDEC-u, wynająłem skromne mieszkanie w Niterói, po drugiej stronie zatoki Guanabara. Musiałem sobie kupić lodówkę na raty i poprosiłem Jeremiasza, by był moim poręczycielem, na co on z miejsca się zgodził. Poszedłem do Mesbly i przedstawiłem im nazwisko mojego poręczyciela, a oni na to: jest nam bardzo przykro, ale on jest posłem, jest politykiem… Musiałem sobie jakoś inaczej poradzić, a Mesbla, gdyby

mogła przewidzieć, że Jeremias wkrótce zostanie gubernatorem Stanu Rio de Janeiro, może jednak inaczej by postąpiła. Wszędzie już tak jest, że politycy nie cieszą się zbyt dobrą opinią, a uczciwi płacą wysoką i bolesną cenę braku przysługującemu im szacunku z winy tych mniej uczciwych.

I jeszcze jedna opowieść z politycznej beczki. Dias Gomes, wybitny brazylijski teledramaturg, miał wiele kłopotów z cenzurą dyktatury wojskowej. Pewnego dnia zapytał się szefa wydziału cenzury, dlaczego dany tekst został skreślony. Urzędnik tekst przeczytał, pokiwał głową i zgodził się z autorem, że nic tam godnego skreślenia nie było. Ale na wszelki wypadek zawołał podwładnego cenzora, który dokonał cięcia. Ten sprawę wyjaśnił w następujący sposób: „Tak, tekst jest w porządku, ale to, co pan myślał, pisząc ten tekst…". Niestety, nie wszystkie działania dyktatury były tak „zabawne".

– 33 –
IDEC II

Ostatni etap przed rozpoczęciem działań w IDEC-u polegał na uzyskaniu poparcia gubernatora Parany, Ney Braga. Skorzystałem z tego, że przebywał w Brasilii Affonso de Camargo Neto, który był sekretarzem stanowym sprawiedliwości w Paranie i z nim poleciałem do Kurytyby. Affonso już jako senator był projektodawcą systemu opłacania częściowo przez firmy i przedsiębiorstwa, a częściowo przez pracowników biletów autobusowych i metra. To oznaczało pewną ulgę w budżecie domowym robotników brazylijskich. Zostaliśmy przyjęci w posiadłości Ney Braga. Staraliśmy się go przekonać, jak ważny będzie dla

PDC instytut kształcący nowe kadry partyjne. Argument, który go w końcu przekonał, był taki, iż w ten sposób otworzą się potencjalne możliwości, by kiedyś w przyszłości PDC mogło pomyśleć o prezydenturze Brazylii. W Wenezueli i w Chile to już była wówczas konkretna możliwość, więc dlaczego nie w Brazylii?

Ney Braga pozostawił po sobie powszechne uznanie za wkład do rozwoju Parany i szacunek dla jego etycznej postawy w polityce. Był liderem charyzmatycznym, doskonałym zarządzającym i starał się wprowadzać w działania polityczne zasady chrześcijańskie. Jestem przekonany, że jego kompetencja, którą wykazał w Paranie, równie dobrze by służyła całemu krajowi, gdyby został wybrany prezydentem Brazylii.

Z Paulem Lacerdą wyruszyliśmy do Europy. Przez Paryż do Strasburga, na kongres międzynarodowej chadecji, podczas którego Aristides Calvani wygłosił piękne i głębokie przemówienie. W naszej delegacji na kongres byli również José Richa i sympatyczny *gaúcho* (mieszkaniec Rio Grande do Sul) Nelson Marchesan. W późniejszych latach José Richa był gubernatorem Parany, a Nelson Marchesan marszałkiem sejmu. Potem udaliśmy się do Bonn, do bratniego Instytutu CDU, gdzie spotkaliśmy Álvara Vallego, który, gdy powrócił ustrój demokratyczny, założył nową partię. Partido Liberal na początku wyglądała obiecująco, ale potem bardzo nas rozczarowała. Dziś raczej wstydzę się tego, że podpisałem się na liście pierwszych członków założycieli PL. W Bonn poznałem naszego przyszłego kolegę w IDEC-u, Hansa Dietera Kaufmanna. Niemcy także mieli przyczynić się do dofinansowania naszego instytutu i Hans był u nas ich reprezentantem.

– 34 –
Italia

Następnie przez Rzym z powrotem do Brazylii. W Rzymie nasza nieliczna grupa miała prywatne spotkanie z papieżem Pawłem VI, podczas którego André Franco Montoro w imieniu delegacji zaprosił go do Brazylii. Papież zbliżył się do każdego z nas, powiedział kilka słów po włosku, a my ucałowaliśmy jego pierścień. Zrobił na nas wrażenie człowieka uduchowionego i bardzo skromnego.

Odwiedzając Rzym, mogłem podziwiać jego zabytki i dzieła sztuki. Byłem między innymi na Via Appia, na dachu Bazyliki Świętego Piotra, gdzie dotarliśmy, wchodząc po wąskich, krętych schodach, a także w katakumbach. Pamiętam, jak bardzo mnie tam raził zgiełk rozweselonych turystów i przypomniałem sobie gorzkie słowa Józefa Czapskiego o ludziach, którzy potrafią jedynie być „smakoszami" kultury i sztuki. W Basilica di Sant Pietro in Vincoli wielkie wrażenie zrobiły na mnie łańcuchy, którymi był skuty Święty Piotr. A z bardziej przyziemnych powodów do Fontana di Trevi wrzuciłem kilka monet z prośbą o spełnienie mych marzeń. Na każdym prawie kroku można napotkać w Rzymie na ślady historii. Na kawałek marmuru, na okaleczony posąg. Wieczne Miasto oddycha nadal tym, co było.

Wybrałem się też pociągiem na jeden dzień do Neapolu i miałem tam poważne problemy z porozumieniem się z neapolitańczykami. Mówią oni specyficzną gwarą, zupełnie inną – wydawałoby się – od języka włoskiego, który zresztą też bardzo słabo znam. No, ale być we Włoszech i nie być w Neapolu? *Vedere Napoli e dopo morire!*

Przed powrotem do Brazylii, będąc na placu Bazyliki Świętego Piotra, przyklęknąłem i zawierzyłem Panu Bogu nasze projekty i zamierzenia.

– 35 –
IDEC III

Moja praca „polityczna" trwała jeszcze jakiś czas, aż do zamachu wojskowego, który skasował wszystkie partie polityczne. Jednym ze szczytowych momentów był odczyt, który miał w IDEC-u ksiądz Fernando Bastos de Ávila, jezuita, propagator solidaryzmu jako antidotum na globalizację. Później ksiądz de Ávila był wicerektorem Katolickiego Uniwersytetu w Rio, a także został wybrany do Brazylijskiej Akademii Literatury. Jan Paweł II mianował go członkiem Papieskiej Rady Justitia et Pax. Bardzo dodatnio do prac IDEC-u przyczynili się również dwaj liderzy chrześcijańskiego ruchu robotniczego w Brazylii: Tibor Sulik, z pochodzenia Węgier, i Joaquim Arnaldo de Albuquerque. Tibor był za młodu prezesem krajowej JOC (Robotniczej Młodzieży Katolickiej), a potem MMTC (Światowego Ruchu Robotników Chrześcijańskich), a także jednym z założycieli Brazylijskiej Komisji Sprawiedliwości i Pokoju związanej z episkopatem. Joaquim Arnaldo był w dyrekcji MMTC brazylijskiej. Przez swoje rozległe kontakty pomagali nam oni w organizowaniu kursów i w mobilizowaniu chętnych do uczestnictwa w nich ludzi. Mój przyjaciel, José Carmello Braz de Carvalho, też był bardzo aktywnym działaczem PDC, a potem wyjechał do Belgii na studia w Louvain. Doktoryzował się w USA.

– 36 –

Opus Dei

Po upływie dziesięciu lat okazało się, że mój udział w polityce brazylijskiej był tylko opatrznościowym pretekstem do przyjaźni z Paulem Lacerdą i jego żoną Marią Lúcią. A to dlatego, że właśnie przez Paula nawiązałem kontakt z Opus Dei w 1975 roku. Od 1976 jestem jego członkiem i to Opus Dei zawdzięczam, że jestem mniej nieznośnym mężem i ojcem, że według wskazań Świętego Josemarii staram się sumiennie wykonywać moje obowiązki zawodowe, że modlitwa i przyjmowanie sakramentów stało się chlebem powszednim. Fakt, że przyjęto mnie do grona ludzi tak nieprzeciętnych, którzy swój stosunek do Stwórcy biorą tak bardzo na poważnie, do dziś jest tajemniczą, a jakże cudowną dla mnie łaską Bożą. Nieodzowną konsekwencją tego wszystkiego jest przesłanie, że dobrem należy się dzielić. Św. Paweł VI nazwał Kościół „ekspertem od spraw ludzkich" i ja miałem sposobność doświadczyć tej prawdy w moim życiu. Poprzeczka została ustawiona wysoko, ale jak ja sobie z tym radzę, to już jest niestety inna sprawa. Są wzloty i upadki, upadki i wzloty.

„Niech każdy wędrowiec podąża swoją drogą", mawiał św. Josemaria i taka wizja drogi życiowej jak najbardziej mi odpowiada. Bo jakże można starać się dogłębnie czymś być bez wolnego „tak"? Bez przekonania? Dopiero wówczas, gdy możemy powiedzieć: „moja droga ma być taka, a nie inna", jesteśmy doprawdy wolni. Jak w wierszu *The road not taken* Roberta Frosta.

Nieraz podczas dłuższych spotkań w Opus Dei (rekolekcji *et cetera*) mocno odczułem to, co Niemcy

określają mianem *Geborgenheit*: ciepło przyjaźni, życzliwą bliskość i ten wewnętrzny pokój wynikający z przekonania, że w tym zakątku świata, wśród tych ludzi, nic nam nie zagraża.

I to z kolei przypomina mi pewien wieczór w naszym jednopokojowym, bardzo skromnym mieszkaniu. Był rok 1942 i ja miałem wówczas zaledwie siedem lat. Siedzieliśmy przy posiłku: tata, mama i ja. Rodzice długo rozmawiali, a ja szczęśliwy wsłuchiwałem się w ich rozmowę, mało co oczywiście rozumiejąc. Naokoło wrzała wojna. W nocy naloty i bombardowania sowieckich samolotów. Podczas dnia – groźba nazistowskich łapanek i rozstrzeliwań. W tym kontekście wojennym obecność kochających się ludzi (Niemki i Polaka!) stworzyła ten niezwykły klimat. Czułem się *geborgen*, w pełnym znaczeniu tego słowa. I w tym uczuciu wielkiego szczęścia, siedząc przy stole, zasnąłem.

Ale jeszcze kilka słów o Opus Dei. W Dziele mamy pobożnych, wykształconych i… wysportowanych kapłanów – bo tak sobie tego życzył Święty Josemaria – i oni, bez wyjątku, potrafią mądrze i roztropnie prowadzić swoje owieczki. Moim pierwszym spowiednikiem był, by wymienić tylko jednego spośród wielu bliskich nam kapłanów, ksiądz Rafael Llano Cifuentes, który, potem był mianowany biskupem pomocniczym w Rio de Janeiro, a następnie biskupem diecezjalnym w Nova Friburgo. Dom Rafael był natchnionym kaznodzieją i pisarzem. Tak się z nim zaprzyjaźniliśmy, że kiedy urodził się nasz najmłodszy syn, Krysia bez wahania postanowiła: na imię mu będzie Rafael.

Mało kto wie i mało się o tym pisze, że księża w Opus Dei przed przyjęciem święceń kapłańskich mają

ukończone wyższe studia cywilne (są lekarzami, inżynierami, adwokatami *et cetera*), by zachować świecki duch Dzieła. A na dodatek każdy z nich ma doktorat z teologii lub z innej dziedziny wiary. A czy w ogóle pisze się o Opus Dei? A no pisze się…

– 37 –
O mały włos

Po skasowaniu partii politycznych IDEC trzeba było pomału likwidować. Hans miał fundusze na jeszcze jedno spotkanie, które zorganizowano we współpracy z Federacją Robotników Chrześcijańskich. Ja wyjechałem na krótko do Chile, gdzie miałem kontakty z tamtejszą Chrześcijańską Demokracją i byłem obecny jako obserwator na kongresie międzynarodowej lewicy. Wówczas Eduardo Frei z ramienia chadecji szykował się do wyborów prezydenckich, które zresztą wygrał. W rozmowach z ludźmi na różnych szczeblach społecznych odniosłem wrażenie, że przeciętny Chilijczyk jest wyjątkowo upolityczniony.

Lecąc do Santiago de Chile, zachwycałem się pięknem zaśnieżonych andyjskich szczytów, aż do chwili, gdy niewielka część skrzydła naszego *Panair do Brasil* odczepiła się i poleciała sobie w dal. Po szczęśliwym wylądowaniu szepnąłem do ucha stewardessy: „Proszę pani, nie chcę robić paniki, ale kawałek skrzydła odpadł nam po drodze". – „Ach… to?" – odpowiedziała. – „Często nam się przydarza". Niestety musiałem wracać tym samym samolotem do Brazylii.

Skorzystałem z tej podróży do Chile, by wybrać się na jeden dzień do Viña del Mar. Pomyślałem sobie, że

przynajmniej raz w życiu muszę zobaczyć Pacyfik. Jako mieszkaniec wybrzeża atlantyckiego pragnąłem porównać te dwa oceany. Konkretnie żadnej różnicy nie zauważyłem, ale odczułem, że coś innego w tym Pacyfiku jednak jest. Nic rzeczywistego, ale jakaś poezja…

W latach 90. miałem też okazję poznać skrajne południe naszego kontynentu. Pojechałem na kongres polonijny do Buenos Aires, do Montevideo, a także do Punta de Leste. Zachwycałem się przepiękną architekturą w Punta de Leste, ale kongresem już nie tak bardzo. To spotkanie polonijne odbyło się raczej w duchu i w stylu *Turystów z bocianich gniazd* Straszewicza i *Trans-Atlantyku* Gombrowicza.

Koniec IDEC-u to koniec mojej pracy „politycznej" i z zamków został się już tylko sam lód. Znalazłem się dosłownie na samym lodzie. W połowie 1965 roku skończyły się resztki oszczędności. Przypomniałem sobie, że w 1963 udzielałem lekcji w Cultura Inglesa, a więc tam się wybrałem i okazało się, że jedna z nauczycielek wyjeżdża na studia do Anglii. Zostałem zatrudniony. Jednocześnie byłem na dydaktyce na uniwersytecie, a to ograniczało moje możliwości zarobkowe. Miałem rodzinę na utrzymaniu, było naprawdę bardzo krucho. Kiedy byliśmy już w trakcie likwidowania IDEC-u, przyszedł do nas z wizytą sympatyczny Amerykanin, który wykazał duże zainteresowanie naszą pracą. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się. Okazało się, że on pracuje w konsulacie USA. Pewnego dnia zaproponował mi coś w rodzaju stypendium, albowiem wiedział, że jest nam ciężko. W zamian za to miałbym opowiadać mu o nastrojach politycznych wśród młodzieży brazylijskiej. Chodziło mu oczywiście o wpływy marksistowskie. Postanowiłem zasięgnąć rady

u naszego proboszcza, księdza Szwajkiewicza. „Broń cię Boże!" – powiedział. Słyszał o podobnym wypadku we Francji i tragicznie to się skończyło. Młody Polak stracił tam życie. Po latach wyczytałem nazwisko sympatycznego Amerykanina na liście CIA. O mały włos nie zostałem wciągnięty do pracy wywiadowczej.

Miałem oczywiście powody nie tylko filozoficzne, ale także osobiste, by komunizm zwalczać. Po wojnie nie mogliśmy wrócić do Polski, ponieważ mojego ojca jako akowca z miejsca by zaaresztowali. A jeśli prawdziwą była wersja, że moją babkę Marię bolszewicy zamordowali, ponieważ takich ludzi jak ona kojarzyli z wrogami socjalizmu, to powodów natury rodzinnej było dramatycznie jeszcze więcej. Ale komuniści brazylijscy to nie to samo (mam nadzieję!). Są bliżsi Marksa aniżeli Lenina. Jest to komunizm utopijny, ideowy, a nie ten składający się z cynicznych politruków i aparatczyków. Przede wszystkim jest to komunizm przed, a nie przy władzy. A poza tym natura brazylijska jest pacyficzna, pokojowa – nie tak jak w innych krajach Ameryki Łacińskiej, w których przeważa wpływ temperamentu hiszpańskiego, bardziej wybuchowego. Poznałem kilku takich ideowych Brazylijczyków i uważam ich za moich przyjaciół. Tylko jednego im brak: spaść z konia, jak to się przydarzyło Świętemu Pawłowi, a wówczas oni zawstydzą nas wszystkich swoją świętością.

A co by się stało, gdybym przyjął owe półroczne „stypendium"? W kraju, w którym kontrasty społeczne są jeszcze bardzo mocne, przeciętny obywatel jest nastawiony lewicowo. Ja zresztą też. Kiedyś w obecności polskiego kardynała wywołałem moją wypowiedzią pewną konsternację, kiedy oświadczyłem, że w Polsce

byłbym prawicowym, ale w Brazylii jestem lewicowy. Stąd też pochodzi moja sympatia dla brazylijskiej Chrześcijańskiej Demokracji, która w owych czasach podkreślała potrzebę gruntownych reform społecznych w Brazylii. A więc co by się stało? Z całą pewnością byłbym okrzyczany najemnikiem amerykańskiego imperializmu. A w Polsce, kontrastowo, gdybym współpracował z PRL-owskim establishmentem, ogłoszono by mnie zdrajcą Ojczyzny. Udało się jakoś przeżyć te bardzo chude czasy bez skorzystania z tego ekstremalnego rozwiązania. A inni? Jeśli ktoś raz się poślizgnął w życiu, to już koniec?

Zastanawiam się nieraz, gdy się mówi o lustracji, czy w naszych czasach Święty Paweł zostałby uniewinniony przez Sąd Lustracyjny. Jego zawinienia były przecież publicznie znane, a nie tylko domniemane, a jednak nikt (z chrześcijan!) nie odważył się być tym pierwszym, który rzuci weń kamieniem. Nie był zmuszany do krzyczenia: „Nieczysty! Nieczysty!" w obecności władców i wyroczni tego świata. Święty Josemaria obrazowo się wyraził o podobnych sytuacjach: ten, kto się do swojej winy przyznaje przed sądem ludzkim, jest karany, a temu, kto ze swoich przewinień ze skruchą się wyspowiada przed sądem Bożym, wybacza się (wolne tłumaczenie z języka portugalskiego). Temu, komu wiele się wybaczyło, z pewnością łatwiej będzie nie sądzić innych.

Można przecież i w dobrej wierze służyć złej sprawie. Czy tak nie było w wypadku Świętego Pawła? On przecież szczerze wierzył, że prześladując chrześcijan, służy Panu Bogu. Jakby echo tego – w odwrotnym znaczeniu – słyszymy w sztuce T.S. Eliota *Mord w katedrze*:

The last temptation is the greatest treason
To do the right deed for the wrong reason

(Ostatnie kuszenie jest największą zdradą
z niegodnych pobudek uczynić rzecz prawą)

Cyniczną zaś, systematyczną zdradę podczas II wojny światowej uosabia Kalkstein i tego doświadczyliśmy na własnej skórze. W czasach PRL-owskich pewnie też ktoś się na to skusił, ale o takich wypadkach w dalekiej teraz Polsce nie chcę się wypowiadać, albowiem nie chcę nikogo niesprawiedliwie posądzać. Prawdopodobnie podczas dyktatury w Brazylii też miały miejsce takie przypadki. W każdym razie: *In the end truth will out*, powiedział Shakespeare. W końcu prawda wyjdzie na jaw.

Dlatego też przykro mi, kiedy o moim patronie mówią: niewierny Tomasz. Jego po prostu nie było, podczas gdy jego „koledzy" byli, kiedy przybył Jezus. A gdyby stało się odwrotnie: gdyby tylko on był obecny w Wieczerniku, a inni apostołowie nie? Czy uwierzyliby mu? Tylko on w takim wypadku byłby tym wierzącym, a oni nie?

Nie było go tam
nie był obecny
często przestajemy istnieć
bo nas też tam nie było

Znowu zaistniał
my też
gdy bliskość objawiła się
w otwartej ranie

w lekkim, nieśmiałym, posłusznym
dotyku palca

Do dziś mają do niego pretensje
że nie uwierzył
a przecież mogliby też nie uwierzyć

Zapominają o jego samotnym smutku
że to on za nas wszystkich powiedział:
„Pan mój i Bóg mój!"

W wersji angielskiej jest mowa o *Doubting Thomas*, a także o *Thomas the believer* – o powątpiewającym/wierzącym Tomaszu. Wersja angielska oczywiście bardziej mi odpowiada.

A dlaczego właściwie tak rozwlekle na ten temat piszę? Na stare lata rażą mnie wszelkiego rodzaju uprzedzenia, a jeszcze bardziej etniczny, polityczny i wyznaniowy maccartyzm ale za młodu ja przecież też byłem nietolerancyjny i pewnego razu (w „dobrej" intencji!) wyrządziłem krzywdę osobie bardzo mi bliskiej. Niestety, nie mogę cofnąć wskazówek zegara mego życia, ale nie tracę nadziei, że ta *mea culpa*, upubliczniona po tylu latach, posłuży jako sugestia, że nieraz nie tylko można, ale nawet należy, nawet trzeba zmienić o kimś albo o czymś zdanie.

– 38 –
Jeden *versus* jeden

Niebezpieczne wnioski wypływają nieraz z jednego faktu, który zmienia nasz sposób myślenia i działania… na

gorsze. Podczas wojny panowała opinia – zresztą wówczas zrozumiała – że każdy Niemiec jest nazistą, a każdy Rosjanin – *homo sovieticus*. I nawet dziś Polak uchodzi za potencjalnego antysemitę. Pomimo tego, że istnieją przecież powszechnie znane przykłady podważające tę opinię – jak chociażby działalność Ireny Sendler, która uratowała 2500 dzieci z getta – nieraz osobiste, bardzo bolesne doświadczenia przeważają.

Irena Sendler (kandydat na pokojowego Nobla w 2008 roku), jak również Zofia Kossak należały do organizacji „Żegota", która uratowała życie wielu Żydom i teraz już wiemy o tym, że bardzo wielu Polaków zginęło w trakcie tej akcji ratunkowej. „Żegota" była jedyną tego rodzaju organizacją w krajach okupowanych przez nazistów.

Niestety, uprzedzenia nadal powodują bolesne nieporozumienia. Pomimo wielkiego entuzjazmu, jaki w Cannes towarzyszył pokazowi filmu *Korczak*, następnego dnia „Le Monde" opublikował artykuł, którego autor uznał film Wajdy za antysemicki. Podobna sytuacja miała miejsce wiele lat przedtem, kiedy *Ziemia obiecana* otrzymała nominację do Oscara. Podczas konferencji prasowej jeden z krytyków zaatakował film jako antysemicki. Po konferencji Wajda zapytał go, gdzie on ten film widział, na co pytany miał odpowiedzieć, że wprawdzie go nie oglądał, ale czego można się spodziewać po filmie z Polski? (Wywiad Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z Andrzejem Wajdą z 2003 roku)

Na całe szczęście jeden solidarny gest potrafi zadziałać jako antidotum na tę tendencję do potępiania i do uogólniania. I to nas wszystkich w pewnym sensie ratuje.

– 39 –

Nauczanie

W 1968 roku zdałem egzaminy konkursowe do szkół stanowych, a w 1971 roku wygrałem pierwszy konkurs do prestiżowej szkoły federalnej Colégio Pedro II, założonej przez cesarza Pedro II. Pracowałem tam przez rok, ale gdy zaproponowano mi funkcję kierowniczą w Cultura Inglesa, musiałem z tej pracy zrezygnować. Wróciłem tam w 1992 roku, gdy po dwudziestu sześciu latach pracy zostałem zwolniony… właśnie z Cultura Inglesa. Gdy mnie chcieli stamtąd usunąć w latach 80., uratowała mnie Hilda Pacheco, która zajmowała tam wysokie stanowisko. Zarzucali mi między innymi, że widzieli, jak szedłem na mszę świętą o godzinie osiemnastej. Potem chodziłem już tylko na siódmą rano… a oni trochę dłużej spali. Niestety, w 1992 roku Hildy już tam nie było. Też ją załatwili. Jeszcze w Cultura Inglesa powierzyli mi jednocześnie zaszczytną funkcję sekretarza zamiejscowego wydziału Uniwersytetu Cambridge w Rio de Janeiro i byłem nim od 1973 do 1977 roku.

Wszystkie te funkcje polityczne i awansy zawodowe, o których wspomniałem, spowodowały, że nieraz przewracało mi się w głowie, a więc pewnie dobrze się stało, że w bardzo przykry sposób z tego cokołu próżności spadłem i znowu wylądowałem na twardej ziemi. Od czasu do czasu warto dostać po głowie i przypomnieć sobie, że *Vanitas vanitatum, et omnia vanitas.* Marność nad marnościami… W każdym razie lata przepracowane w Cultura Inglesa były wyjątkowe. Miałem dobrych szefów i miłych podwładnych. Tylko pod koniec jakoś się zepsuło.

To be – *pierwszy dzień lekcji*

Sala szkolna jak wszystkie inne: na obdrapanych ścianach graffiti, kawałki kredy i gąbka do czyszczenia tablicy. W atmosferze ukryte napięcie: „Jaka będzie ta klasa?" – zastanawia się nauczyciel; „jaki będzie ten nauczyciel?" – zastanawia się klasa. Dziesiątki nowych twarzy, imion do zapamiętania, nastawień do zdekodyfikowania, ale przede wszystkim osobisty bagaż każdego z nich i ich przyszłe dzieje, które w tym właśnie momencie mają swój wspólny początek. Czasami ten proces przypomina uciążliwe wspinanie się pod górę, czasami są to obopólne odkrycia, zdumienia i osłupienia. To, że zarówno nauczyciel i każdy z jego uczniów ma swój bagaż przeszłości, ma swoje fundamentalne znaczenie, albowiem z tego właśnie nawarstwienia doświadczeń, frustracji, nadziei, dążeń i marzeń ukształtuje się ich przyszłość. Suma tego klimatu zadecyduje o tym, jak ułożą się stosunki i jakie będzie trzeba stosować strategie, by proces nauczania i uczenia się rozwijał się pomyślnie. Niejeden nauczyciel z pewnością kiedyś spostrzegł, że każda klasa ma swoistą osobowość. Są klasy otwarte i mniej otwarte, bardziej lub mniej przyjazne, błyskotliwe i te raczej nie, spokojne i mniej spokojne. Nauczyciel, jak ojciec wielodzietnej rodziny, musi być czujny na potrzeby i idiosynkrazje swoich uczniów oraz na ich potencjał intelektualny. Wzbudzić u ucznia zamiłowanie do nauki jest rzeczą ważniejszą niż wszelkie zasoby technologiczne i najbardziej wyrafinowane techniki pedagogiczne. One są potrzebne i pomocne w tym procesie i mogą działać motywująco, ale jeśli nauczyciel nie będzie tym ojcem-przyjacielem, który dobrze życzy swym

uczniom i nie będzie potrafił tej życzliwości zamanifestować, niemała część jego potencjału pedagogicznego pozostanie niewykorzystana. Jednakowoż stanowczy ojciec jest nieraz lepiej postrzegany aniżeli miły dziadzio, który rozpieszcza swoich wnuków.

Stopniowo nauczyciel już lepiej zna każdego z uczniów. Ta uczennica pracuje w hotelu jako odpowiedzialna za pokojówki. Przedtem była służącą. Ten uczeń jest technikiem elektrykiem i potrafił wyjaśnić nauczycielowi, na czym polega defekt jego telewizora. Tamta uczennica przynosi do szkoły butelki z różnymi sokami, a także sprzedaje podczas przerwy zakąski. Inna z kolei ma kilkunastoletnią córkę i ciągle czule o niej mówi. Dzieje osobiste się mnożą. Twarze mają już swoje imiona. Nauczyciel też dzieli się fragmentami swojego życia. Kalejdoskopiczny wizerunek klasy 1026 nabiera kształtu. Obraz orkiestry też przypomina rozliczność tych głosów i tonów (czasem fałszujących), które nauczyciel stara się zharmonizować. Pomału rośnie zainteresowanie, niektórzy się wyróżniają. Pod koniec roku wyniki są nie najgorsze.

Taki jest wizerunek klasy wieczorowej, ale on nie odbiega znacząco od rzeczywistości szkoły średniej popołudniowej. Zasadnicza różnica tkwi w wieku uczniów i nieraz wynikających z niego wygłupach, a także chęci egzystencjalnej afirmacji wobec nauczyciela, który w tym wypadku reprezentuje ojca – autorytet, jaki w tym wieku należy przecież jak najczęściej dezawuować. Zdarzają się także ci głodni afektu, a ich strategia polega na zwracaniu na siebie za wszelką cenę uwagi. Ale i u nich, i dla nich czynnik ludzki jest najistotniejszy, decydujący. W innym kontekście uczniowie w wieku

jedenastu lat reagują entuzjastycznie na zabawy i piosenki. Także u nich w ciągu roku szkolnego ujawniają się indywidualne upodobania, ale też i zaplecze rodzinne. Vanessa podziwia swoją koleżankę Biankę, ponieważ ona już tak „naprawdę pracuje", grając rolę statystki w serialu telewizyjnym. Edward z kolei pragnie być trenerem judo. Jest tam też nieśmiały João, jak również i bezczelny Leonardo.

I w końcu uczniowie już na poziomie akademickim, którzy studiują literaturę angielską i amerykańską. Ileż to odkryć, doświadczeń, wzajemnych zwierzeń, głębin i magicznych wzlotów literatura przysparza tym, którzy dzięki niej mogą wznieść się wysoko ponad siebie. To magiczne jest zresztą obecne za każdym razem, gdy w kontekście szkolnym ujawnia się przeszłość-teraźniejszość-przyszłość, budująca jedno oparte o drugie. A to jest tylko możliwe dzięki temu wspólnemu bagażowi i temu potencjałowi wymiany między uczniem a nauczycielem. Gdy zabraknie jednego z tych zasadniczych czynników, nie będzie można powiedzieć, że miała miejsce prawdziwa lekcja. Ta radykalnie wymaga wzajemnej wymiany. Nie od razu i nie zawsze nauczyciel i uczeń zdają sobie z tego sprawę i na tym polega cała magia, że w tej wymianie są rzeczy nie tylko wymierne, ale też te niewidzialne i nieokreślone.

Czule wspominam mój pierwszy kontakt z legendarną wychowawczynią Henriette Amado, dyrektorką słynnej wówczas szkoły stanowej André Maurois. Gdy się jej przedstawiłem, z miejsca zapytała: „Lubisz uczniów?". Do dziś, po tak wielu latach słyszę to pytanie. „Tak" – odpowiedziałem. „To możesz tu z nami zostać". To znaczy: jeśli lubisz uczyć, jeśli lubisz twoich uczniów,

to potrafisz zmobilizować wszelkie zasoby pedagogiczne (technologiczne, psychologiczne et cetera), by twoje wykłady były atrakcyjne i skuteczne. Ułatwisz w ten sposób proces nauczania, który nie tylko dąży do przekazywania wiedzy, ale również do dowartościowania istoty ludzkiej w jej całości.

Nauczyciel oddycha głęboko, przedstawia się klasie i mówi uczniom, jakie jest jego zdanie o przedmiocie, który wykłada; na ile on jest ważny dla samego ucznia, ale także dla społeczności, w której żyjemy. Mówi im, że wierzy, że nawet w dawkach homeopatycznych warto się uczyć. Wszystko, co w nasze życie wnosi coś pozytywnego, wzbogaca nas, wzmacnia i stajemy się wtedy bardziej samodzielni, bardziej wolni.

I na początek tej lekcji (czemuż nie?) zacznijmy od czasownika „to be", od tego, co znaczy być. „To be, or not to be". Czy w końcu właśnie nie od tego wszystko zależy?

Myślę, że ten artykuł, który opublikowałem w gazecie związku nauczycieli, najlepiej i najkrócej opisuje moje podejście do uczenia języków obcych i streszcza okres od 1963 do 1998 roku, kiedy to przeszedłem na emeryturę. IBEU (gdzie miałem kilka wykładów dla nauczycieli), Cultura Inglesa, szkoła stanowa André Maurois, kolegium Pedro II i CCAA oraz dziesięć lat pracy w Sekretariacie Edukacji w Rio de Janeiro, a przede wszystkim te młode, a także te mniej młode serca uczniów, kolegów i koleżanek, jakie miałem szczęście poznać, pozostawiły w mej pamięci cenny, niezatarty ślad.

Po formalnym przejściu na emeryturę w 1998 roku nieformalnie nadal pracowałem, głównie jako tłumacz. A więc wszystkiego razem to już jest przeszło sześć-

dziesiąt lat pracy zawodowej. W tym nowym zawodzie też nie brak mi emocji. Przekład książki *O co nas pytają wielcy filozofowie* Leszka Kołakowskiego (wspólnie z Henrykiem Siewierskim) był wspaniałą intelektualną przygodą, a w zupełnie innym kontekście, występując w roli tłumacza sądowego i widząc młodego Polaka w kajdankach, oskarżonego o przemyt narkotyków, serce mi się krajało. Za głupie dwa tysiące euro stracił cztery lata swej młodości w obcym kraju. W przeważającej większości to nie są zwykli kryminaliści, lecz raczej naiwne ofiary łatwego, jak im się wydawało, zarobku. Niestety nie ma możliwości ekstradycji, ponieważ nie istnieje umowa w tej dziedzinie między Brazylią a Polską. Muszą odsiedzieć te cztery lub więcej lat z dala od Kraju.

– 40 –
Polonia

Wątek polonijny zaczął się w 1952 roku, zaraz po moim przybyciu do Rio de Janeiro. Poza kołem „Świetlików" byłem również aktywnym członkiem Towarzystwa Polonia na różnych funkcjach w zarządzie, aż po prezesurę w 1987 roku. Po mnie prezesem został Stefan Kucharski, a po nim Alina Felczak (dwadzieścia trzy lata na stanowisku – absolutny rekord!). Po Alinie Felczak został wybrany Stefan Janczukowicz, a po nim… znowu ja, na kadencję 2019–2020. Po przeszło czterdziestu latach! Teraz już naprawdę jestem na emeryturze, jeśli chodzi o pracę społeczną. Ale czy można być na emeryturze w pracy społecznej? Arthur Trojan – prezes – i syn Rodrigo – wiceprezes – są między innymi tymi, którym w odmłodzonym obecnie

Polonijna uroczystość

zarządzie przypadnie przekazać następnym pokoleniom polonijny znicz. Arthur to rdzenny Brazylijczyk, który stał się rdzennym Polakiem. Świetnie orientuje się w historii Polski. Jest potomkiem, ze strony polskiej, osadników w Peru, którzy po nieudanej tam emigracji przybyli do Brazylii.

Tak, wiele czasu upłynęło od połowy ubiegłego stulecia, gdy zaczynałem jako sekretarz, a prezesem był

Bolesław Śliwowski. Pan Bolesław często mnie zapraszał do swego gościnnego domu i tam nieraz hucznie obchodziliśmy urodziny jego i jego córki, Jadzi.

Ale najmilej wspominam mój udział w kole artystycznym Towarzystwa Polonia, a więc tańce ludowe, skecze, śpiew w chórze. Małżeństwo Natalia i Ryszard Dąbrowscy organizowali różne występy i czasami wyjeżdżaliśmy nawet poza Rio. Pamiętne były też urywki z *Pana Tadeusza* zainscenizowane przez panią Wandę Roycewicz. Byłem panem Tadeuszem. Nauczyłem się mojej roli na pamięć, głos miałem dobry, ale w dniu występu trzęsły mi się kolana. Telimenę grała Oleńka Chmurzyńska, a hrabiego… autentyczny Antek Potocki. Ale najlepszym z nas był chyba Aleksander Gniewosz w roli Sędziego. Do dziś pamiętam:

Widziałem w wileńskim botanicznym ogrodzie
Owe sławione drzewa rosnące na wschodzie
I na południu, w owej pięknej włoskiej ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszemi?

Tak, te występy na scenie były pewnego rodzaju eskapizmem. Ucieczką od niełatwej codzienności emigracyjnej. Na scenie można przecież być bohaterem. Panem Tadeuszem… nawet.

Co sobotę chodziliśmy do Towarzystwa Polonia na potańcówkę i bywało, że tańczyliśmy do białego rana, zwłaszcza podczas karnawału. Najpierw w lokalu na Rua da Carioca 45, a potem w Bairro Fátima. Po wyjeździe Jadzi Chmurzyńskiej moją stałą partnerką do tańca była Haneczka Lechowska. Tak pięknie tańczyła, że ludzie aż bili brawo.

Tańczę walca
na balowej sali
wszechświata

Walc to chyba najpiękniejszy z tańców. Uskrzydla. Unosi nas w przestworza. A z taką partnerką to jeszcze wyżej, jeszcze bardziej.

Irenka Piekarczyk też świetnie tańczyła. Jak i oczywiście, bez wyjątku, wszystkie nasze panienki. A jakie były dalsze losy piętnastoletniej wówczas Irenki? W *Słowniku biograficznym Polonii brazylijskiej* pióra księdza Zdzisława Malczewskiego czytamy:

> *Irena Piekarczyk była odpowiedzialna (między innymi) za wypuszczenie na rynek brazylijski Citicard (dzisiaj Credicard), co było pierwszym przedsięwzięciem tego typu w Ameryce Łacińskiej.* […] *W późniejszym okresie, kiedy Bankers Trust został wybrany przez komitet banków wierzycieli Brazylii* […] *Irena Piekarczyk została odpowiedzialna za negocjacje z brazylijskim Bankiem Centralnym odnośnie zagranicznego zadłużenia Brazylii.*

Dzielnie się spisała młodzież naszego pokolenia, dokładając swoją cegiełkę do rozwoju Brazylii. Każdy na swój sposób i w miarę swoich możliwości. Na mniejszą czy na większą skalę, ale zawsze z sercem, zawsze rzetelnie. Wszystkim należy się nasza cześć i podziękowanie. A teraz z kolei dzielnie się spisuje młodzież obecnego pokolenia. To odwieczne odradzanie się ziela na kraterze.

Po tej dygresji… Wracając kiedyś z takiej potańcówki w Towarzystwie Polonia, szliśmy piechotą z Bairro Fátima aż do Lapa, by tam poczekać na nasz autobus. Było

to już późną nocą i w połowie drogi Ewa Czaińska nas zaskoczyła: nagle zdjęła buty i zaczęła iść boso. Puste ulice, cisza i spokój. Można śmiało powiedzieć, że w owych czasach było naprawdę bezpiecznie.

I to z kolei przypomina mi, jak kiedyś wracając z Santa Teresa, zabłąkałem się do faweli w dzielnicy Catumbi. Nic się nie stało. To były lata 50. W latach 90. musiałem zawodowo odwiedzić szkołę na faweli Rocinha. Dyrektor szkoły mi poradził, bym z nim pojechał, ponieważ jego już znali… A gdy kierowca TV Globo mnie wiózł na fawelę Cantagalo – miałem tam pogadankę dla młodzieży w 2007 roku – kazał mi otworzyć okno samochodu. „Oni chcą widzieć, kto wjeżdża…". Czy ludzie się zmienili? Nie. Nadal są życzliwi i sympatyczni. To raczej skutki działania narkobiznesu nadają ten nieprzyjazny ton. Gnieździ się on na niedostępnych stokach gór otaczających Rio jak w zamkach średniowiecznych i stamtąd organizuje między innymi napady i odwety. Ale nie traćmy nadziei. Kiedyś znowu będziemy mogli bezpiecznie wracać o świcie. Nawet na bosaka, tak jak Ewa…

Gdy doszły do nas słuchy o odwilży w Polsce, Wacław Fedorowicz, ówczesny Prezes Towarzystwa Polonia, Ignacy Jeśman i ja, reprezentujący młodzież w zarządzie Towarzystwa, wybraliśmy się do ambasadora Wojciecha Chabasińskiego z nadzieją, że a nuż, kto wie, będziemy mogli znowu nawiązać kontakt z Polską. Żyliśmy wówczas w klimacie żelaznej kurtyny i wszystko, co z Polski do nas docierało, odbieraliśmy z nieufnością, ale także z nadzieją. Pamiętam, jak rozglądałem się po mieszkaniu ambasadora, starając się domyślić, gdzie były ukryte mikrofony… Ambasador Chabasiński mile nas przyjął i zrobił na mnie wrażenie człowieka na wysokim

poziomie intelektualnym. Szczególnie utkwiło mi w pamięci jego zdanie, że Stany Zjednoczone były (w owych dobrych czasach…) najbardziej dojrzałym krajem do przyjęcia socjalizmu, ponieważ tam podział dóbr był już całkiem zaawansowany. Ale po tej rozmowie polityczno-filozoficznej nic się nie zmieniło. Żelazna kurtyna znowu zapadła. Były Węgry, była Czechosłowacja. Dalszy ciąg też już znamy. Za każdym zrywem w Polsce i u sąsiadów braliśmy udział w marszach protestacyjnych, by przekonać naszych przyjaciół Brazylijczyków, że to, co się dzieje za żelazną kurtyną, woła o pomstę do nieba. Między innymi ksiądz Paweł Piotrowski zmobilizował naszą wspólnotę i wystąpiliśmy w obronie walczących w „Solidarności" rodaków w licznej manifestacji pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza. Na pewno nie byliśmy ani bierni, ani neutralni.

Przy tym właśnie pomniku odbywają się piękne, wzruszające obchody Dnia Żołnierza Polskiego. Ignacy Felczak, prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Brazylii, co roku mobilizował Brazylijskie Siły Zbrojne i nie brakowało tam przedstawicieli wojska brazylijskiego najwyższej rangi. Orkiestra wojskowa grała hymny brazylijski i polski, podczas gdy powoli na maszt wciągali sztandary. Przedtem tradycyjnie spotykaliśmy się w naszym polskim kościółku na mszy świętej i byli tam też obecni oficerowie i żołnierze brazylijscy, przedstawiciele kombatantów innych narodowości, każdorazowy konsul RP i od czasu do czasu również ambasador RP. Przez cały ten dzień przy pomniku powiewa flaga polska. Wydaje mi się, że w całej Ameryce Łacińskiej było to chyba unikalne na taką skalę wydarzenie.

– 41 –

Maria Tarnowska

We wspomnieniu o „Świetlikach" kilka nazwisk już wymieniłem, ale nie mogę pominąć pani Marii Tarnowskiej, mojej pierwszej „nauczycielki" języka angielskiego. W książce o powstaniu warszawskim jest jej zdjęcie, gdy jako parlamentariusz władz cywilnych spotyka się z przedstawicielem Von dem Bacha, generałem Rohrem, by ustalić warunki kapitulacji. Protokolant rokowań, Gerhard von Jordan, tak się o tych spotkaniach wyraził: „W tym momencie, gdy protokół był gotów, mieliśmy wrażenie, że to nie Polacy kapitulują, lecz my przed starą hrabiną". Wówczas nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaki to był niebywały dla mnie zaszczyt, że mogłem tak światłego i bohaterskiego człowieka poznać i często odwiedzać. Pani Maria darzyła mnie swą życzliwością i sympatią, a to było w moich niełatwych początkach emigracyjnych jak balsam, dodawało otuchy. Jak się okazało, byliśmy przez pewien czas „kolegami" na Pawiaku. Kto mógł przewidzieć, że poznamy się w Rio de Janeiro? Jej pamiętnik, pisany po angielsku, *The future will tell* (Przyszłość pokaże) opisuje, między innymi, dni powstania warszawskiego. Pani Maria miała bezpośredni kontakt nie tylko z walczącymi na barykadach i z przedzierającymi się przez kanały łączniczkami, ale także z dowództwem powstania. Brała również czynny udział w pertraktacjach z Von dem Bachem, by ułatwić ludności cywilnej opuszczenie Warszawy. I to udało jej się wywalczyć!

Syn pani Marii, Andrzej Tarnowski, tragicznie zginął w wypadku drogowym w Rio i zostały się jej już tylko synowa, pani Helena, i wnuczki, Oliwia i Mariela. Moje

pierwsze w Rio osiemnaste urodziny „Świetliki" urządziły w gościnnym domu pań Tarnowskich. Był tam przypadkowo obecny młody Rosjanin, Serge Naglovsky, który każdemu z nas wyjawił, co się w nas naprawdę dzieje. Niesamowicie trafne były jego spostrzeżenia! Mnie między innymi powiedział, że jestem *une âme tourmentée*…

Oliwia wyjechała na kilka lat do Anglii. Dopóki Mariela też nie wyjechała za granicę, co roku zapraszała mnie na wieczór wigilijny do pani Heleny, na którym zawsze było kilku gości takich jak ja. Przed pójściem do pań Tarnowskich bywałem u przyjaciół Chmielewskich. Tym sposobem moja wigilia była podwójna. Myślę, że tylko samotny, młody emigrant potrafiłby w pełni docenić ten gest moich przyjaciół. Moja mama przez kilka lat pracowała jako guwernantka u wielodzietnej rodziny. Miała wolne raz na tydzień i tylko wtedy mogliśmy się spotykać na obiedzie, w jadłodajni pani Anastazji Rusakowej. O wspólnym spędzaniu świąt niestety nie było nawet mowy.

– 42 –
Obchody

Ksiądz Zygmunt Szwajkiewicz, o którym już wspomniałem, był głównym *spiritus movens* obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Potrafił nas wszystkich zmobilizować i zjednoczyć. Były to nie tylko obchody wewnątrzpolonijne, ale miały one także duży wydźwięk w środowisku brazylijskim. Do tego stopnia, że Poczta Brazylijska wydała z tej okazji specjalny znaczek, a były także inne medialne echa tego wydarzenia. Rocznica 500. urodzin Kopernika też została bardzo godnie uczczona. Z kolei Ignacy Jeśman, brat pisarza Czesława Jeśmana, zmonto-

wał audiowizualny program o Świętym Maksymilianie Kolbe, który został pokazany między innymi w szkole Santo Agostinho, dzięki staraniom mego syna Rodriga.

Widzę, że coraz częściej przyjmuję rolę kronikarza polonijnego, pisząc o tych wydarzeniach, a to pewnie dlatego, że w jakiś sposób też brałem w nich udział. Jeśli inne ważne osoby i wydarzenia uszły mojej pamięci, to proszę mi wybaczyć. Pamięć niestety zaczyna szwankować. Ale Vicog, który codziennie zażywam, to podobno dobre na nią lekarstwo.

– 43 –
Nieporozumienia

W latach 70. rozgorzała „wojna domowa" w Rio, gdy część kolonii polskiej była za, a druga część przeciw sprzedaży posiadłości, którą Stefania Lincoln Nodari, wielka dobrodziejka Polaków, darowała Polonii riowskiej na cele dobroczynne. W tej zażartej walce po stronie tych, co byli przeciwni sprzedaży, znalazłem się także i ja, wspierając naszego księdza proboszcza, Zenona Gąsiorowskiego. Kolonia podzieliła się na dwie grupy: w jednej byli w większości emigranci przedwojenni (przeciwni sprzedaży), a w drugiej ci powojenni (za sprzedażą). W końcu posiadłości nie sprzedano.

Ta walka o dobro sprawy zbliżyła mnie do kilku bardzo wartościowych i zasłużonych osób, ale w tym momencie wymienię tylko te, które od nas odeszły. W sposób szczególny zaprzyjaźniłem się z Michaliną Kubiczek, Anielą Gabriel, z Aleksandrem Warżyńskim, z Julą Barcińską, Maciejem Feldhuzenem i z Jeśmanami. Maciej Feldhuzen, wybitny dziennikarz, pięknie napisał w pi-

semku „Świetlik" o naszym spotkaniu z Józefem Czapskim. W Stowarzyszeniu Dziennikarzy Zagranicznych godnie go potem zastąpił Krzysztof Głuchowski, pisarz i współtwórca londyńskiego POSK-u. *À propos* Krzysia Głuchowskiego, był on uczestnikiem powstania warszawskiego i wraz z konsulem Dariuszem Dudziakiem zorganizował dwie wspaniałe uroczystości upamiętniające to wydarzenie. Mój syn Rodrigo pomógł mu w przygotowaniu jednej z nich na Uniwersytecie Stanu Rio de Janeiro.

– 44 –
Józef Czapski

Ponieważ znowu wspomniałem Józefa Czapskiego, to pozwolę sobie na jeszcze jedną małą dygresję. Polskiemu czytelnikowi nie trzeba tłumaczyć, kim był Józef Czapski, autor słynnej książki pod tytułem *Na nieludzkiej ziemi*. Ale jeszcze chyba warto dodać, że był on współtwórcą paryskiej „Kultury". Udaliśmy się we dwójkę z wizytą do Muzy Wojtkiewicz, która też była „Świetlikiem", i ona zagrała na cześć Czapskiego *Liebestraum* Liszta. Muza udzielała lekcji gry na pianinie i chciała w ten sposób uświetnić wizytę tego niecodziennego gościa. Wracając wzdłuż plaży Ipanema, napotkaliśmy małego, ciemnoskórego chłopczyka, który na widok Czapskiego zatrzymał się i powiedział: *A benção!*, czyli „Pobłogosław!". Widocznie ten wysoki, siwy pan zrobił na nim duże wrażenie, coś go musiało głęboko wzruszyć. Józef Czapski był zresztą pod silnym wrażeniem brazylijskiej religijności, jaką miał okazję zaobserwować podczas Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Rio de Janeiro w 1955 roku.

– 45 –

Nadzieja

W konfliktach polonijnych – i nie tylko – starałem się widzieć w osobie, która się ze mną nie zgadzała, przeciwnika – a nie wroga. Niestety, nierzadko ludzie inaczej się do tego odnoszą: nie zgadzasz się ze mną? Jesteś moim wrogiem! Ale jakże często i mnie się zdarza źle o kimś pomyśleć, coś niedobrego powiedzieć! Oczywiście, po jednej i drugiej stronie tego konfliktu byli ludzie ideowi, nie chodziło im o żadne korzyści materialne. Ironia losu polega na tym, że obecnie ta wspaniała posiadłość jest prawie nieczynna, a kiedyś w wynajmowanym, skromnym lokalu spotykaliśmy się co tydzień. Przyczyn jest kilka, ale przede wszystkim nie ma przypływu nowych emigrantów, zaś starsze pokolenie stopniowo odchodzi. Nie ma dzieci, nie ma młodzieży, a ta, która jest, uległa w większości asymilacji. Zatem nie ma komu tego skarbu w przyszłości przekazać. Jednakowoż ten obecny, odmłodzony zarząd daje nam wznowiony oddech nadziei, zaistniała bowiem pewna perspektywa.

Gdy nie istniała dobroczynność zorganizowana, chodziliśmy od domu do domu, prosząc o datki na utrzymanie rodaków w domu starców, a było ich sporo. Teraz, gdy jest organizacja i wspaniała siedziba, nasuwa się uporczywe pytanie: dla kogo?

Zarząd Towarzystwa Polonia stara się, by pomimo tego nieprzychylnego kontekstu zachować polskie tradycje. Spotykamy się tam podczas obchodów 3 maja i 11 listopada, a także na święta.

Ale największą nadzieję przysparza nam dopływ rdzennych Brazylijczyków o polskim sercu.

– 46 –
Pierścień wielkiej Damy

À propos pani Nodari, przypomina mi się wydarzenie, które mogłoby nosić tytuł – ale tylko tytuł! – zapożyczony od Norwida: *Pierścień wielkiej Damy*. Pewnego dnia zadzwoniła do nas pani Jadwiga Świrska, sekretarka pani Nodari, powiadamiając nas, że pani Nodari pragnie dać Krysi w prezencie pierścionek. Poszliśmy do niej z wizytą i pani Nodari przy herbatce dała Krysi pierścionek, który otrzymała od Anny Pawłowej, gdy była jeszcze członkiem zespołu baletowego tej legendarnej tancerki. Ten hojny gest był pewnie inspirowany tym, że Krysię przez jej mamę też wiele łączyło ze sztuką baletu. I tak ten pierścień wielkiej damy, po okrążeniu wspaniałych salonów świata, czeka na jego dalsze losy w rodzinie Łychowskich. A może to znak, że tu w Rio urodzi się następna Anna Pawłowa?

Pani Nodari zawdzięczamy również jedyny w Rio witraż z wizerunkiem Pani Jasnogórskiej. Ofiarowała go kościołowi São Paulo Apóstolo na Copacabanie.

– 47 –
Mosty

Wracając do spraw polonijnych, należy mocno podkreślić, że wspaniałą oazą jest nadal nasz kościółek polski w dzielnicy Flamengo. Już od wielu lat jesteśmy pod opieką księży Chrystusowców i zawdzięczamy im to, że co niedzielę możemy się tam spotkać, po polsku się pomodlić i porozmawiać. Bez naszego kościółka wspólnota po prostu przestałaby istnieć. Naszym duszpasterzem jest

obecnie ksiądz Jan Flig. Dzielnie i z oddaniem pomagają mu w tym siostry ze Zgromadzenia Chrystusa Króla. Ksiądz Jan prowadzi bardzo efektywną pracę społeczną, pomagając wielu biedakom. Raz w miesiącu przed kościołem stoją długie kolejki i każdy z nędzarzy otrzymuje wielką torbę z żywnością i odzieżą. Już nawet nasz arcybiskup w Rio de Janeiro się o tym dowiedział i jest pełen podziwu. Ksiądz Jan ma także podopiecznych Polaków, których często odwiedza i którym doraźnie pomaga.

To, że nasza parafia jest parafią personalną – jedną z nielicznych na całym świecie – zawdzięczamy księdzu Benedyktowi Grzymkowskiemu, który uzyskał ten przywilej od arcybiskupa Rio de Janeiro, kardynała Jaimego de Barros Câmary. Ksiądz Benedykt był naszym proboszczem w latach 1967–1974 i wiele zdziałał dla naszej młodzieży polonijnej. Od 1977 roku do czerwca 2009 roku był rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Brazylii. Obecnie rektorem Polskiej Misji Katolickiej został mianowany ksiądz Zdzisław Malczewski.

W dawnych czasach w zbieraniu datków pomagałem księżnej Jolancie Radziwiłł. Czasami chodziło o dofinansowanie domów dla starców, a w innych wypadkach – o pokrycie kosztów pochówku. Trzeba było też zająć się częścią biurokratyczną, wypłacaniem pieniędzy, zgłaszaniem zgonów *et cetera*. Księżna Jolanta bardzo często pokrywała te koszty z własnej kieszeni. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się i pomimo różnicy wieku prowadziliśmy nieraz długie, filozoficzne rozmowy. Przez kilka lat byliśmy też razem w zarządzie Towarzystwa Polonia i jej rozważna opinia w sprawach Towarzystwa była zawsze brana pod uwagę. Drugą osobą zaangażowaną w pracę społeczną była pani Eleonora Plater-Zyberk. Pamiętam,

jak się do niej zwróciliśmy o pomoc dla Henryka Z., inwalidy, który mieszkał w Krakowie. Przez dłuższy czas „Świetliki" przesyłały mu przez PKO zebrane dolary, które w owych czasach nawet w małych dawkach były naszym rodakom bardzo pomocne. Za mojej prezesury pani Nora była skarbnikiem w zarządzie Towarzystwie Polonia. Z czasem bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Gdy pisałem tekst o rzeźbiarzu Auguście Zamoyskim, udostępniła mi cenne dane o jego życiu i twórczości.

Najlepszą receptę na przetrwanie, na perspektywę jakiejś przyszłości polonijnej odkrył według mnie ksiądz Zdzisław Malczewski. Gdy w 1991 roku odbyło się Światowe Spotkanie Młodzieży z Janem Pawłem II w Częstochowie, ksiądz Zdzisław, który był wówczas naszym proboszczem, zmobilizował nas wszystkich, uzbierał potrzebne fundusze i wysłał na to Spotkanie dwoje przedstawicieli z Rio de Janeiro: Aleksandrę Śliwowską-Bartsch i mojego syna, Rodriga Łychowskiego. Owa podróż do Polski niewątpliwie wpłynęła na to, że po powrocie do Brazylii serca tych młodych ludzi biły już inaczej. Nadal kochają oni kraj, w którym się urodzili i który uważają za swoją ojczyznę, ale jednocześnie Polska, kraj ich przodków, stała się dla nich bardziej konkretna. Stała się przede wszystkim potężną obecnością w ich życiu. Podobnie reagują inni Brazylijczycy polskiego pochodzenia, a nawet Brazylijczycy, których z Polską nic dziejowo nie wiążę, ale którzy kraj znad Wisły darzą sympatią i uczęszczają nawet na lekcje… polskiego.

Konsulowie nasi podtrzymali tę koncepcję i do Krakowa na kurs języka polskiego pojechali Brazylijczycy polskiego pochodzenia, a także rodowici Brazylijczycy. Dziś już można mówić o brazylijsko-polskiej hybrydzie,

to jest o Brazylijczyku uczuciowo i kulturowo związanym z Polską.

Inny cenny przyczynek do budowania relacji polsko-brazylijskich to szerzenie kultury polskiej za pośrednictwem słowa. Henryk Siewierski, profesor na Uniwersytecie w Brasilii, pisarz, poeta i tłumacz literatury polskiej, cieszy się dużym prestiżem wśród intelektualistów brazylijskich. Od 1986 do 1991 roku był on ponadto wydawcą pisma „Aproximações – Europa do Leste em Lingua Portuguesa". Przez kilka lat był również dyrektorem Instytutu Literatury Universidade de Brasília i dyrektorem wydawnictwa tegoż uniwersytetu. Jego obecność wśrod nas przypomina nam innych wybitnych Polaków tego samego kalibru, niestety już nieżyjących: profesora Jerzego Zbrożka i profesora Stanisława Fischlowitza. Rodrigo i ja zgodnie uważamy, że Henryk Siewierski reprezentuje najwyższe kulturowe szczyty polskiej świadomości i obecności w Brazylii. W pierwszej połowie 2009 roku stanął on do konkursu na stanowisko *Professor Titular em Teoria Literária da UnB*, czyli Profesora Tytularnego Teorii Literatury. W tej dziedzinie był to pierwszy tego rodzaju konkurs na Uniwersytecie Państwowym w Brasilii. Egzaminowała go pięcioosobowa komisja profesorów tytularnych z innych uniwersytetów i nasz rodak wygrał!

Ponieważ wspominam profesora Zbrożka po raz pierwszy, wydaje mi się, że warto przytoczyć opinię, jaką o nim wyraził profesor Cândido Mendes, brazylijski intelektualista, autor monumentalnego dzieła o Alceu Amoroso Lima. Według niego profesor Zbrożek był jednym z najbardziej wpływowych Polaków w Brazylii, który jako profesor etyki i filozofii prawa na Katolickim Uniwersytecie w Rio ukształtował kryteria oraz świa-

domość etyczną i prawną wielu pokoleń brazylijskich prawników. W 1941 roku był wraz z księdzem Leonelem Francą współzałożycielem wydziału prawa na wspomnianym uniwersytecie, a przed przybyciem do Rio de Janeiro w 1940 roku studiował między innymi w Louvain, specjalizując się w tomizmie. Niebywały to wyczyn być założycielem wydziału w obcym kraju po zaledwie jednym roku pobytu!

Z kolei Tomasz Barciński przełożył na portugalski przeszło dwadzieścia dzieł z literatury polskiej, między innymi Kapuścińskiego i Gombrowicza. Ma opinię znakomitego tłumacza, a za wkład do szerzenia kultury polskiej w Brazylii otrzymał wysokie odznaczenie od polskiego rządu. Z jego zasługi odznaczyło go też Ministerstwo Kultury. Najwyższym zaś było Złote Gloria Artis. Kiedyś mu powiedziałem, że często myślę o tym, jak dumni ze swojego syna muszą być Karol i Julia Barcińscy.

Sérgio Britto, ikona teatru brazylijskiego, swoim programem telewizyjnym w TV Brasil więcej zdziałał dla popularyzacji polskiego kina w Brazylii aniżeli wszystkie dotychczasowe publikacje na ten temat. Co więcej, udało mu się sprawić, że polska kinematografia została tu zrozumiana i doceniona. Taka jest moc przekazu medialnego. Przyjaźń, jaką mnie darzył Sérgio Britto, jest najlepszym wskaźnikiem tego, jak Brazylia i Polska są sobie bliskie. Poza czysto ludzką sympatią łączyło nas to zbliżenie dwóch odmiennych, a jakże bogatych kultur. On mnie nazywał Polakiem-*Carioca*, a ja mógłbym go nazwać Brazylijczykiem-warszawiakiem – bez najmniejszej ujmy, zaznaczam, dla naszego kochanego Krakowa i innych polskich miast… Sérgio otrzymał od polskiego Ministerstwa Kultury medal zasługi i został

wybrany najlepszym aktorem Brazylii 2008 roku za grę w dwóch krótkich sztukach Becketta. Głęboko odczułem jego śmierć, gdy zmarł w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Kilka miesięcy przed śmiercią Sérgio otrzymał prestiżową nagrodę literacką Jabuti za swoją autobiografię. Jakże bogate było jego życie i jak wspaniały jego wkład do rozwoju brazylijskiej dramaturgii!

A zatem z jednej strony bezpośredni kontakt z Polską, by zaszczepić w młodym pokoleniu zamiłowanie do kraju ich przodków, a z drugiej szerzenie polskiej kultury w Brazylii. W ten sposób rysuje się na horyzoncie perspektywa przyszłości polskiej w kraju pod Krzyżem Południa. Będzie to już brazylijska polskość, ale na pewno nie uboższa, lecz przeciwnie – bogatsza i bardziej fascynująca.

Przerwa na zadumanie. Kwestie polityczne i religijne są nieraz przedmiotem głębokich nieporozumień między krajami, wspólnotami, a nawet między przyjaciółmi. Ale ja już sobie potrafię wyśnić i wyobrazić trzy osoby gorąco dyskutujące, które po tej dyskusji nadal trwają przy swoich poglądach, ale które jednocześnie staną pełne zachwytu przed *Pietą* Michała Anioła albo grzecznie usiądą sobie jeden przy drugim, wysłuchując koncertu Mozarta. Taka jest potęga sztuki i kultury.

Osobna, ale związana z tą perspektywą inicjatywa, to publikacja „Projeções" (Projekcje), a obecnie „Polonicus", którego naczelnym redaktorem jest ksiądz Zdzisław Malczewski. Wydawane już przez przeszło dwadzieścia lat pismo ma na celu zbliżenie polsko-brazylijskie i publikuje artykuły oraz badania, które kiedyś będą cennym źródłem dla historyków relacji polsko-brazylijskich. Obecnie efektywnie promuje w Polsce Brazylię, a w Brazylii –

Polskę. Niestety, by móc wydać każdy kolejny numer, ksiądz Zdzisław musi często opłacać wydatki związane z jego drukiem z własnej kieszeni. Aż wstyd, że czasami nie brak funduszy na inne, powiedzmy delikatnie, mniej dalekosiężne inicjatywy.

– 48 –
Braspol

Wstąpiłem do Braspolu z nadzieją na to, że coś nam się uda zdziałać w Rio w sensie promowania kultury polskiej wśród naszych przyjaciół Brazylijczyków i przez pewien czas byłem prezesem sekcji lokalnej.

Programy w TV Brasil o kinie polskim, jak również wystawa plakatów polskich, artykuły w czasopismach brazylijskich i wykłady w szkołach i na wyższych uczelniach z pewnością przyczyniły się do promowania kultury polskiej. Ja jednak najbardziej sobie cenię mój udział w „opiekowaniu się" miejską szkołą Polônia, usytuowaną w dalekiej dzielnicy Magalhães Bastos. Miejski Sekretariat Edukacji zwrócił się do konsula Michała Zawiły z prośbą o zaopiekowanie się tą szkołą. Jeździliśmy tam kilkakrotnie, dostarczaliśmy nauczycielkom materiały o Polsce, następnie one „zdawały egzaminy" i w końcu otrzymały z rąk konsula świadectwo wiedzy o Polsce. Pod koniec roku dzieci i nauczycielki przyjeżdżały do konsulatu na podwieczorek i na upominki. Dla wielu z tych dzieci to była pierwsza, unikalna okazja, by z okien konsulatu móc podziwiać zatokę Guanabara w dzielnicy Botafogo, jak również Głowę Cukru i Corcovado (pomnik Chrystusa Odkupiciela). Wierzę, że te wrażenia pozostaną im do końca życia. Była też

próba skontaktowania ich z Liceum Ogólnokształcącym im. Ruy Barbosy w Warszawie. W tym liceum ma zresztą swą siedzibę Towarzystwo Polsko-Brazylijskie. Prezesem Towarzystwa był przez wiele lat ambasador Stanisław Pawliszewski. Położone na antypodach Towarzystwo Polsko-Brazylijskie przyczynia się do zbliżenia obu krajów, które łączy pewnego rodzaju wspólny im dziejowy romantyzm. Od 2022 roku prezesem jest ambasador Marek Makowski.

Obecnie Escola Polônia opiekuje się zarząd Towarzystwa Polonia. Na 60-lecie istnienia tej szkoły Towarzystwo Polonia pokryło koszty odmalowania ścian. Przekazywane są tam też różne publikacje o Polsce.

– 49 –

Brazylijski Instytut Kultury Polskiej

Ciekawą inicjatywą było stworzenie w Rio Brazylijskiego Instytutu Kultury Polskiej. Inicjatywa wyszła od naszej pani ambasador, Katarzyny Skórzyńskiej. Uroczyste otwarcie miało miejsce w Akademii Literatury. Niestety, brak infrastruktury i funduszy nie pozwoliły Instytutowi należycie prosperować. Staraliśmy się go kilkakrotnie ratować, ale bez skutku. Zorganizowałem między innymi debatę na temat twórczości Conrada – tego najbardziej polskiego wśród pisarzy angielskich (jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości na ten temat, możemy podyskutować…) – i było jeszcze kilka wykładów o kulturze polskiej, kilka recenzji filmów polskich; i to wszystko. Obecnie istnieje już tylko na papierze. Za to we wspomnianej Akademii Literatury odbyły się dwie ważne imprezy zorganizowane przez naszego byłego

konsula, Dariusza Dudziaka: rocznica wystąpienia Jana Lechonia w Brazylijskiej Akademii Literatury, a także rocznica Conradowska. O Lechoniu i o poezji polskiej mówił z tej okazji Henryk Siewierski.

– 50 –

Polska – Brazylia

Na wyróżnienie zasługuje wizyta w Rio de Janeiro redaktora Turowicza, który przybył tu w 1987 roku na sympozjum poświęcone dialogowi Kościoła polskiego z brazylijskim. Na mszy św. w naszym polskim kościółku, poza Jerzym Turowiczem, byli także obecni Henryk Woźniakowski i Stefan Wilkanowicz, reprezentujący krakowski ZNAK, i ojciec Jan Andrzej Kłoczowski. Mszę św. odprawił ojciec Jan Andrzej i jego kazanie zrobiło na wszystkich wielkie wrażenie. Maciej Feldhuzen powiedział mi potem, że nawet dla niewierzących katolicyzm na takim poziomie staje się atrakcyjny. Podczas odśpie-

Spotkanie z Lechem Wałęsą w siedzibie Towarzystwa Polonia

wania *Boże coś Polskę* i gdy nasi wybitni goście podnieśli ręce do góry, sygnalizując palcami solidarnościowe „V", przeżyliśmy głębokie emocje. W tej chwili oto Polska Walcząca stała się obecna w Rio de Janeiro. Miałem zaszczyt być potem u państwa Feldhuzenów na obiedzie, na którym honorowym gościem był właśnie Turowicz. Był tam też obecny ojciec Jan Andrzej Kłoczowski. Polskiemu czytelnikowi nie trzeba zapewne klarować, kim był Turowicz i jaką rolę odegrał redagowany przez niego „Tygodnik Powszechny" w odzyskaniu wolności i suwerenności Polski po tak wielu latach niewoli. A może teraz, przez wzgląd na tych młodszych, zachodzi jednak taka potrzeba? Organizatorem spotkania był Brazylijczyk Rubem César Fernandes, który swoje studia filozoficzne ukończył na… UW. Zmuszony do opuszczenia Brazylii podczas dyktatury, zamieszkał w Polsce. Doktoryzował się następnie na University of Columbia. O tym, że świetnie mówi po polsku, mieliśmy okazję się przekonać, kiedy odwiedził nas Piotr Nowina-Konopka i miał w ISER-ze (Instytucie Studiów Religii założonym przez Rubema) przemówienie o przemianach w Polsce. Rubem był wówczas jego tłumaczem. Obecnie jest dyrektorem Viva Rio, założonej przez siebie organizacji rozwoju społecznego, która prowadzi bardzo poważną pracę w fawelach rioskich i nie tylko tam. Przekonałem się o tym, kiedy w 2007 roku wziąłem udział w programie *Polônia Carioca* organizowanym przez Magdę Materne. TV Globo finansuje program promocji społecznej na wzgórzu Cantagalo, a infrastrukturę organizacyjną bierze na siebie całkowicie Viva Rio Rubema. Miałem dla dzieci i dla młodzieży z tej faweli dwie pogadanki: jedną o Polsce, a drugą o poecie Paulu Lemińskim. Byłem pod

wrażeniem tej wspaniałej młodzieży z faweli Cantagalo, która wykazała nie mniejsze zainteresowanie poezją aniżeli dzieci i młodzież z lepiej sytuowanych rodzin, z którymi miałem podobne spotkania. Rubem otrzymał wiele nagród brazylijskich i międzynarodowych, a także odznaczenie polskie. Jest utalentowanym pisarzem i pięknie napisał o „Solidarności". Książka, w której opowiada o swojej pielgrzymce do Częstochowy, otrzymała nagrodę Związku Pisarzy Brazylijskich. Tak, niewątpliwie nieprzeciętnym człowiekiem jest ten bardzo nam życzliwy Brazylijczyk.

W 2013 roku niezwykłym wydarzeniem w naszej polonijnej wspólnocie w Rio de Janeiro była obecność na porannej mszy świętej młodzieży polskiej, która przybyła na Światowe Dni Młodzieży. Nasz polski kościółek wypełniony młodzieżą polską! Dla naszej wykruszającej się wspólnoty był to w tych niezapomnianych dniach odżywczy oddech odnowy. Przypuszczam, że to, co piszę, może być niezrozumiałe dla naszych rodaków w Polsce lub dla emigrantów żyjących w Anglii. W Londynie żyje liczna wspólnota polska i nie nęka ich to nasze uczucie pustki i wyludnienia. Towarzystwo Polonia odstąpiło swoją siedzibę i tam właśnie mieściła się główna kwatera polskiej delegacji. I tam, z kolei, naszą młodzieżą opiekowały się Józefa Gręziak i jej córki. Po mszy św. wspólne śniadanie w parafialnym saloniku, a potem każdy z nich wyruszył na wyznaczone mu miejsce w naszej olbrzymiej metropolii. Z kilkoma jesteśmy nadal w kontakcie. Ks. Jan Sobieraj, ówczesny nasz proboszcz, zmobilizował nas wszystkich, Polaków i Brazylijczyków, i udało się nam ugościć wielu z nich u kilku rodzin lub w pustych mieszkaniach. Nie brakowało też kościelnych dostojników, ale ten kontakt

z młodzieżą, przede wszystkim właśnie ten kontakt, zostanie na zawsze w naszej pamięci. Kasia Osińska, w roli tłumacza, i jej mąż Dominik też przybyli z Polski. Dla mnie była to szczególna radość, ponieważ to właśnie Kasia dokonała przeglądu *Mojej drogi na księżyc* w 2010 roku.

Dwa miliony młodzieży na plaży Copacabana podczas mszy świętej. Atmosfera nie z tego świata. Wszędzie grupy młodzieży z chorągiewkami przeróżnych krajów. Radość i dyscyplina. Nasze władze chwalą ich za porządek i dobre wychowanie.

Papież Franciszek jedzie samochodem z lotniska. Samochód raczej skromny. Otwiera okienko, ściska wyciągnięte do niego ręce. Raptem, koło faweli, ogromny korek. Samochód stanął i ani rusz. Patrzymy w telewizor i ogarnia nas panika. To wyjątkowa okazja na zamach. W końcu samochód rusza z miejsca. Odetchnęliśmy z ulgą.

Dziennikarz pyta Franciszka, czy nie przeraził się tą sytuacją. „Nikt nie umiera zawczasu" – odpowiedział papież. W tej odpowiedzi nie brak teologii i filozofii. I poczucia humoru.

– 51 –
Mój Parnas

Moja przygoda malarsko-poetycka zaczęła się w latach 50. Pierwsze wiersze powstały – oczywiście – w stanie zakochania. Sam wydrukowałem na powielaczu w 1956 roku tomik pod tytułem *Mój Parnas*:

Wzniosłem się na szczyt mojego Parnasu
i wiedziałem, że już nie jestem sam
gdyż tam na szczycie spotkałem samotność

Albo ten mistyczno-miłosny:

Nic nie jest –
a jest wszystko
Nic nie wiem –
a wiem wszystko
Nic nie mam –
a mam wszystko
Wszystko!
Bo jesteś blisko

I wiersz pisany wiele lat później, ale na tle tych samych przeżyć:

Szedłem za samotnym młodym wilkiem
widziałem jak wszedł na skałę Arpoador
usiadł i patrzył na ocean

Księżyc w pełni ukazał się na horyzoncie
fale biły o brzeg

Wycie jego serca
niesłyszalne dla innych
odbiło się echem w moim

A ja, litując się nad sobą samym
zobaczyłem w ciemności
miraż, który go dręczył

Który dręczy każdego
we wczesnej młodości lub później
potem ustępuje

Tak, to wycie samotnego wilka… Potem nadszedł okres, w którym pisałem głównie po angielsku, a to z racji mojego zawodu. Dopiero pod koniec XX stulecia nabrałem odwagi, by pisać też w języku portugalskim, i całkiem nieźle sobie z tym teraz radzę. „Wybuch poetycki" nastąpił w moim życiu bardzo późno. Mój pierwszy tomik *Glimpses/Vislumbres* został opublikowany przez Colégio Pedro II dzięki staraniom Ruiego Marcha, kolegi i przyjaciela, w wersji angielskiej i portugalskiej, w 1996 roku. Następny, *Voices/Vozes*, w 1998 roku przez wydawnictwo Sette Letras. Pierwszy portugalsko-polski, *Brisas/Powiewy*, w 2000 roku. Promocja odbyła się na Uniwersytecie UERJ dzięki staraniom Marii Teresy Toribio Brittes Lemos, która wykłada tam historię Ameryki Łacińskiej i która habilitowała się na UW pod egidą CESLI. Teresę poznałem za pośrednictwem księdza Malczewskiego. Postanowiłem wówczas, że przyszła pora na „podbój Polski" i zwróciłem się do księdza Zdzisława o pomoc. Ksiądz Zdzisław ułatwił mi kontakt z profesorem Andrzejem Dembiczem i w 2002 roku odbyła się w CESLI pierwsza moja promocja w Polsce. *Brisas/Powiewy* przedstawiła polskiej publiczności doktor habilitowana Anna Kalewska, mój pierwszy w Polsce poetycki anioł stróż, któremu bardzo, bardzo wiele zawdzięczam. Wydanie następnego, trójjęzycznego tomiku *Graniczne progi /Limiares de fronteira / Thresholds* zawdzięczam z kolei Andrzejowi Dembiczowi. CESLA wydała ten tomik w 2004 roku. Tym razem odbyła się też promocja w Londynie (jak i zresztą dwie następne), wspaniale zorganizowana przez Reginę Wasiak Taylor, sekretarza Związku Polskich Pisarzy na Obczyźnie i którego obecnie jest prezesem. W Paryżu zajął się tym mój przyjaciel, artysta malarz Zbigniew Więckowski.

W Paryżu byłem goszczony w uroczym, pięknym domu „Świetlika" Elżuni Barcińskiej (obecnie Grenier), a promocja miała miejsce w stacji PAN. W CESLI, w POSK-u londyńskim, w École Polonaise i w PAN w Paryżu zostały też pokazane moje obrazy. Pragnę podkreślić, że za każdym razem miałem bardzo duże wsparcie ze strony Wspólnoty Polskiej, ZPPO Konsulatu RP w Rio i Ambasady Polskiej w Londynie. Na jednym z tych spotkań w POSK-u spotkała mnie miła niespodzianka: został mi przedstawiony młody pierwszy sekretarz Ambasady Brazylijskiej, Carlos Pachá, który, jak się okazało, był moim uczniem w Cultura Inglesa w Rio… Był tam także obecny Alex MacDonald, syn pasierbicy pana Lula Targowskiego. Jaki ten świat jest mały! Jakie wspaniałe są spotkania!

Następne tomiki – *Encontros/Spotkania* (2006) i *Skrzydła/Asas* (2008) – jak również pierwsze wydanie pamiętnika *Moja droga na księżyc* (2010) – zostały wydane przez Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich UW oraz Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego. Głównym *spiritus movens* i promotorem wydawniczym był tym razem doktor Jerzy Mazurek, wicedyrektor MHPRL, niezmordowany propagator kultury polskiej i brazylijskiej, niezastąpiony przyjaciel pisarzy i poetów. Jedno jest pewne: bez poparcia CESLI, UW i MHPRL bardzo trudno byłoby wydać moje tomiki w Polsce. Obie uroczyste, oficjalne promocje (także z tłem w postaci moich obrazów) odbyły się w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, w Lublinie, a jeszcze bardziej serdeczne i kameralne – w domu Olka i Basi Fiutów w Krakowie. Powiedziałem Olkowi, że to dzięki niemu nareszcie udało mi się zbliżyć do Nagrody Nobla… albowiem nikt jak on był Miłoszowi tak bliski. Uczu-

ciowo jestem też bardzo związany z LO im. Ruy Barbosy w Warszawie. Te serdeczne spotkania z młodzieżą licealną przywołały zamierzchłe czasy mojej młodości:

W zacisznej, zielonej ulicy Pragi
Liceum Ruy Barbosa

Młodzież wypełnia sale
przemówienia

To niby tu, to niby teraz

Wywołanie innych czasów
innego kontekstu

Wrażenie, że wszystko jest inne
jednocześnie takie same

Dziewczyny i chłopcy:
ci, których kiedyś znał
ci, których teraz poznał

Wyjątkowa okazja by zajrzeć
do wieczności

Tam zostać

Ponadto zaproszony przez profesora Andrzeja Dembicza miałem w CESLI zajęcia o polskim wkładzie do kultury brazylijskiej. Te niezapomniane spotkania z młodzieżą akademicką na Iberystyce UW, na UMCS w Lublinie i ten tydzień spędzony w CESLI przywołały z kolei to:

Niewidzialne na razie jutro
właśnie to, które kiedyś
stanie się tęsknotą

Potem ujrzały światło dzienne następne tomiki wierszy: *Recomeço* (2014), *Spojrzenia* (2016), a także zbiór tekstów pt. *Post Scriptum* (2018) i najnowszy, teraz już pandemiczny, tomik wierszy *Brama/O portão* (2020). Ten ostatni również jako e-book, by móc zaistnieć międzynarodowo w duchu współczesnej technologii. Obecnie szykuje się tomik wierszy pt. *Arka Noego*.

Z inicjatywy Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm Nagrodę Literacką ZPPNO za rok 2016 otrzymało trzech pisarzy z Brazylii. Za popularyzację kultury polskiej za granicą zostali wyróżnieni: Henryk Siewierski, ks. rektor Zdzisław Malczewski i ja. Henryk mieszka w stolicy Brasilia, odległej od Rio de Janeiro o przeszło tysiąc kilometrów. A więc gdzie jest najłatwiej dwóm przyjaciołom spotkać się na *cafezinho* (małą czarną)? Okazuje się, że najłatwiej… w Warszawie, odległej o 12 tysięcy kilometrów!

Aleksandrę Ziółkowską-Boehm poznałem podczas promocji książki ks. Zdzisława i pierwszej wersji mego pamiętnika, która odbyła się w pięknym ogrodzie MHPRL przy alei Wilanowskiej. Jestem z Oleńką w stałym kontakcie i bardzo sobie cenię jej przyjaźń. Jej książki są sercem pisane! W każdej książce Aleksandry przejawia się wielki szacunek dla jej bohaterów. To wybitne pióro i nadzwyczaj współczujący humanizm. W 2020 roku Aleksandra Ziółkowska-Boehm została uhonorowana nagrodą Wybitny Polak w USA. W książce *Delicje pisarskie* znajdujemy między innymi arcyciekawą wymianę jej listów z Giedroyciem.

Do Lublina pojechała też moja córka Isabella, ale wiele lat przede mną. Była tam na letnim kursie, który odbył się na KUL-u w 1987 roku. Bardzo jej się podobała cała ta wyprawa do Europy i do Polski, ale my – jak to bywa z rodzicami – martwiliśmy się w Rio, ponieważ w owych czasach komunikacja z Polską jeszcze dość szwankowała. Czekaliśmy długie tygodnie, zanim list do nas dotarł. Wysłaliśmy więc telegram: „Miesiąc bez wiadomości!". W erze internetu zupełnie nie do pomyślenia…

Być może pora teraz na próbę odpowiedzi na pytanie: dlaczego poezja? Jeszcze za młodu odkryłem, że słowa mają wielką moc, zwłaszcza w poezji. W poezji słowa mają przecież tę magiczną, ekstremalną koncentrację znaczenia. Słowa mnie fascynowały, urzekały. Ich poetycka kombinacja tak jak muzyka wprowadza nas w pewien nastrój, przybliża do tego, co niewysłowione. Ale żeby móc pisać poezję, trzeba się zagłębić i należeć do „głównego nurtu" danego języka. Miłosz uważa, że Norwid na przykład do niego nie należy. Jego opinia wywołała zresztą pewne kontrowersje i zastrzeżenia… Ja na pewno nie należę do żadnego nurtu, żaden język nie jest moim językiem rodzimym. Może dlatego tak długo zwlekałem z publikowaniem wierszy.

Gdzież mnie do poematów? Ledwo wiersz wykrztuszę
Z rozdygotanej krtani, drżąc o każde słowo,
Trwożąc się, czy coś znaczysz, o zawodna mowo,
Dla której wdzięków tajnych żyć i umrzeć muszę.

A więc nie tylko ja, ale także nasz wielki mistrz słowa – Tuwim! W swoim wierszu *Odpowiedź* on też wyraża podobne wątpliwości! Rzecz jednakowoż na tym ra-

czej polega, że poemat po prostu nam się narzuca. Mam wrażenie, że Graham Connell w swoim komentarzu do *Voices/Vozes* ujął to doskonale: „Tomasz wychodzi na ulicę, zauważa wiersz i go notuje". Jakaś sytuacja, jakieś wydarzenie, piękno czegoś zmusza nas do pisania. Ta wzrokowość poetycka ma zresztą coś wspólnego z malarstwem. A może nawet bardzo wiele. Skoro już tak jest, że piszę, ponieważ nie mam innego wyjścia, to chyba łatwiej będzie mi wybaczyć…

Graham Connell potrafił mnie chwalić, ale chyba najbardziej mi pomagał, gdy jego komentarz ograniczał się do jednego tylko słowa: *Well...* gdy w rzeczywiśtości zapewne sobie pomyślał: *Horrible!* Takie szczere postawienie sprawy otwiera nam oczy. W życiu złudzenia są niebezpieczne, a w sztuce – wręcz samobójcze. Ile cennych rad udzielili mi również, w historycznej kolejności, Henryk Siewierski, Anna Kalewska, Aleksander Fiut!

Kochanowski, Mickiewicz i Norwid, a w młodości, z wiadomych przyczyn, Lechoń:

i wszystko mi już leci z rąk
miłość i rozkosz
prawda, sny

są moimi ulubionymi poetami. Carlos Drumond de Andrade i Manuel Bandeira w poezji brazylijskiej. W poezji angielskiej – T.S. Elliot, a w niemieckiej – Goethe i Heine. Ale co tu dużo mówić, także wielu innych.

A teraz informacja, jaka może zainteresować czytelnika z zawodu psychologa. Moje wiersze powstają w różnych nastrojach: w tych pogodnych, a także wtedy,

gdy jestem na dnie mego wulkanu; ale malować potrafię tylko w klimacie pokoju i równowagi. Gdy założę krawat. Wulkan w krawacie? Nasza wielka Clarice Lispector wyraziła na ten temat podobne zdanie (choć na pierwszy rzut oka wydaje się mieć przeciwne znaczenie): „Malowanie wyzwala. Wyzwala bardziej niż pisanie" (*É uma libertação pintar. Liberta mais do que escrever*).

– 52 –
Malarstwo

Mój pierwszy „oficjalny" obraz nosi datę 1961 roku. Ale przedtem były inne. Obraz z 1961 to krzesło inspirowane dziełem Van Gogha. Sposób, w jaki Van Gogh zajmuje całą przestrzeń płótna, to dla mnie powód do zachwytu w nieskończoność. Nie ma tam przestrzeni neutralnej, pustej. Zainteresowanie malarstwem zaczęło się w tej fazie mojej młodości, kiedy wszystko się zaczyna. Chodziłem na wystawy, kupowałem książki, podziwiałem dawnych mistrzów, zwłaszcza Botticceliego I El Grecco. Potężne rzeźby Michała Anioła I Rodina. I wielu, wielu innych. W Rio de Janeiro zaprzyjaźniłem się z rodziną Brunona Lechowskiego: z panią Heleną i jej córkami, Wandą i Hanką.

Spieszę do piekarni Benamor
tej przy ulicy Marquês de Abrantes

Dziś są urodziny Wandy
kupię jej ciasteczko
a za chwilę uściskam panią Helenę, Wandę i Haneczkę
i obrazy Brunona Lechowskiego

Odwiedzając moje przyjaciółki, zawsze długo wpatrywałem się w obrazy Lechowskiego. Charakterystyczny rysunek, potężne kolory. Tak, to był bardzo nieprzeciętny polski malarz. Byłem kiedyś na wystawie jego obrazów, na której pokazali też te malowane jeszcze w Polsce. Był to zupełnie inny styl. Niewątpliwie Brazylia wywarła ogromny wpływ na jego malarstwo, zwłaszcza na jego mocne, tropikalne kolory. A on na mnie?

José Pancetti i Yoshiya Takaoka, renomowani malarze brazylijscy, byli uczniami Lechowskiego, a więc można śmiało powiedzieć, że ten utropikalniony malarz polski wywarł niemały wpływ na malarstwo brazylijskie.

Niektórzy moi przyjaciele twierdzą, że poetą jestem polskim, ale malarzem brazylijskim. Ponieważ mojej córce Isabelli zawdzięczam także ulokowanie moich obrazów w przestworzach internetowych, poezja i malarstwo stały się w ten sposób interrelacyjne. W dobie internetu kontakt z odbiorcą jest natychmiastowy.

Waldemarowi i Ewie Kluzom zawdzięczam promocję mojego pierwszego tomiku, jaka odbyła się w 1996 roku w Towarzystwie Polonia przy poparciu Instituto Brasil Estados Unidos, a także moją pierwszą indywidualną wystawę obrazów w Rio, w 1999 roku, w Associação Comercial do Rio de Janeiro. Waldemar był radcą handlowym Ambasady RP, a potem naszym pierwszym konsulem generalnym w Rio de Janeiro. Waldemar i Ewa bardzo popierali wszelkie inicjatywy, jakie miały na celu promowanie kultury polskiej w Brazylii. Koncerty, wystawy, promocje książek *et cetera*. Niestety, nie zawsze spotykali się z należnym im uznaniem. Ach, ci Polacy… Ach, ci rodacy! Tym bardziej pragnę podkreślić, że jestem Ewie i Waldemarowi bardzo, bardzo wdzięczny!

– 53 –

Konsulat w Rio de Janeiro

Jak już wspomniałem, konsulowie polscy podtrzymali ten dynamiczny styl działania i naprawdę dużo zrobili dla promowania Polski w Rio de Janeiro. A teraz niedyskretne pytanie: dlaczego został zamknięty konsulat w „Pięknym Grodzie"? Rio de Janeiro, drugie co do wielkości po São Paulo miasto Brazylii nadal jest uważane za centrum kultury brazylijskiej. Tu mamy największą w Ameryce Łacińskiej bibliotekę, mamy Brazylijską Akademię Literatury założoną przez Machado de Assis, no i mamy przecież Maracanã… Maracanã? Tak, jak najbardziej. Gdy odbędą się międzynarodowe imprezy sportowe piłki nożnej, to nie zajdzie czasem potrzeba posiadania konsulatu w Rio de Janeiro? Już teraz coraz więcej polskich turystów tu przyjeżdża. Być w Brazylii i nie odwiedzić Rio de Janeiro? Nie do pomyślenia.

Zamknięcie konsulatu w Rio de Janeiro miało wymiar symboliczny. Dzięki staraniom konsula Dariusza Dudziaka polskie Ministerstwo Kultury dofinansowało odnowienie grobowca Zbigniewa Ziembińskiego, ogólnie znanego jako *o pai polonês do moderno teatro brasileiro*, czyli polski twórca nowoczesnego brazylijskiego teatru. Grobowiec rozpadał się i był w żałosnym wręcz stanie. Obecnie pięknie i solidnie odnowiony wyraża naszą troskę o to, by nie zanikła pamięć o wielce zasłużonym dla kultury brazylijskiej Polaku. Podczas obchodów stulecia jego urodzin, tuż przed zamknięciem konsulatu, nieliczna grupa Polaków i Brazylijczyków obecna na cmentarzu oddała mu należny hołd. Wśród nich była także wdowa po Janie Michalskim, pani Maria José Michalska. Michal-

ski, który był jednym z czołowych krytyków dramaturgii w Brazylii, napisał bardzo piękną i bogatą w szczegóły biografię Ziembińskiego.

A teraz wspaniała wiadomość z ostatniej chwili: znowu będziemy mieli polski konsulat w Rio de Janeiro!

Był w Brazylii i nasz prezydent-noblista. Miałem zaszczyt witać Lecha Wałęsę w imieniu kolonii polskiej w Rio w Towarzystwie Polonia. Z jeszcze większą satysfakcją wręczyłem mu wiersz napisany na jego cześć przez młodziutką poetkę polskiego pochodzenia. Podróże eksprezydenta do Brazylii nie były jednak zbyt udane. Lech Wałęsa z natury nie jest dyplomatą, ale – według mnie – spotkał się on także z pewnego rodzaju uprzedzeniem lewicujących dziennikarzy. Dla nich był on z całą pewnością *persona non grata*. Zwłaszcza dla tych radykalnych, którzy widzieli w nim najemnika CIA. Jeśli w krajach geograficznie Polsce tak bliskich powstają ruchy rewizjonistyczne negujące zbrodnie katyńską i Auschwitz, to trudno się dziwić, by na odległych antypodach przestały definitywnie nurtować marzenia rewolucyjno-totalitarne różnego zabarwienia i niezadowolenie z tego, że tu i tam miały one swój kres. Jestem ciekawy, jak Wałęsę widzą w Polsce? Czy też jako agenta na usługach CIA? No tak, już wiemy…

– 54 –
Poezja i malarstwo

Zaszczyt to dla mnie wielki, że do moich tomików pisali wstępy nie tylko kochani przyjaciele, ale jednocześnie tacy powszechnie wielce szanowani ludzie pióra, jak Graham Connell, Henryk Siewierski, Anna Kalewska, Aleksander

Fiut i Aleksandra Ziółkowska-Boehm. Na zakończenie tego wątku pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden tekst, a mianowicie opinię Zbigniewa Więckowskiego. Jako artysta malarz pisze on w swej recenzji *Tomasz Łychowski – emocja słowa* o tym, co wiążę moją poezję z moim malarstwem:

> *Tomasz Łychowski to nie programowy burzyciel, szukający sposobu przekroczenia, by za wszelką cenę zbliżyć się do awangardy, wywołać szok, epatować formą, zadziwić stylem. Skromny i cichy paseizm, by przejść bezszelestnie obok ducha czasu, dyskretnie zaglądając w swój ludzki los. Poeta czynu zawartego w słowach, paseistyczny nowator w prostocie słów, jakby chciał powiedzieć, że mu nie zależy do czegoś należeć. Arte-fakt, indywidualna wypowiedź i indywidualny język, dobrze wyrażone słowo, którego sensu, znaczenia i wartości szukał, obracając je między trzema językami: polskim, angielskim i portugalskim. Słowo potoczne jest nasycone emocjami, odbija realia współczesnego świata poprzez swoją emocjonalność w tych trzech językach. Domeną jego poezji staje się fakt życia, mały krok z jednej myśli w drugą, jakby przejście przez ulicę. Forma to synteza. Synteza sztuki poetyckiej to charakterystyczna właściwość tej twórczości. To poezja refleksji, dotykanie tajemnicy bytu. Tak czy tak, faktycznie poeta ma siebie, mówi o swoich codziennych sprawach i to jest ta tajemna jedność. Osobowość, która dojrzewa gdzieś od środka.*
>
> *Gdy pisałem tekst o malarstwie Tomasza pt. W samym sercu emocji, poprzez widzenie prac malarskich starałem się zbliżyć do tych samych emocji, które są zawarte w jego słowach, w jego poezji. Przyjaźnił się*

z Józefem Czapskim, bo byli duchowo do siebie podobni. Z dala od ojczyzny, z uwagą nastawia ucho, by nie zatracić głównego nurtu polszczyzny. Czapski i Łychowski wydają się stać razem przy źródle tajemnej prostoty. Fundamentalne poczucie bliskości jest fakt-Artem.

Paryż, 21.03.2004

– 55 –
Ite ad Ioseph

Doświadczenia mistyczne? Być może… ale mojego bliskiego przyjaciela Tadeusza. Tadzio jest moją bratnią duszą, mamy tego samego spowiednika. To, co on mi opowiedział, zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, tak głęboko to przeżyłem, że w końcu to, co było jego wyłączną własnością, drogą duchowej osmozy sobie przywłaszczyłem. Oto jego relacja:

Pewnego razu, kiedy rozmawiałem z koleżanką podczas przerwy między jedną lekcją a następną, ona mnie zapytała, czy ja już kiedyś byłem w kościele Świętego Józefa. Nie? To musisz tam pójść. Za ołtarzem widać figurę Świętego Józefa na łożu śmierci i po jednej stronie Jezusa, a po drugiej Marię, trzymających go za ręce. Kto się tam uda pierwszy raz, tego prośba z pewnością zostanie wysłuchana. W nagłej potrzebie pójdź tam się pomodlić. Jakiś czas potem znalazłem się w trudnej sytuacji i postanowiłem poprosić Świętego Józefa o pomoc. Wówczas w tym kościele nie odprawiano Mszy Świętej, ponieważ bractwo kościelne było skłócone z kardynałem Rio de Janeiro. Jednak ze

względu na tę wyjątkową szansę życzliwego wstawiennictwa Świętego Józefa udałem się tam i stanąłem w kolejce. Kiedy przyszła na mnie kolej i zaszedłem za główny ołtarz. To, co zobaczyłem, zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Głęboko westchnąłem i poprosiłem Świętego Józefa by... w tym kościele znowu odprawiano Msze Święte. Ludzie w kolejce napierali. Musiałem stamtąd wyjść. Duchowo plułem sobie w brodę: zaprzepaszczona szansa! Byłem zły na siebie. Było to pod koniec roku. Na początku następnego roku po moim problemie nie było już śladu i gdy kiedyś przechodziłem koło kościoła, zobaczyłem tam tłum ludzi. Dzień Świętego Józefa, 19 marca. Sam arcybiskup przybył, by odprawić Mszę.

Z czasem doszedłem do wniosku, że w ten anonimowy sposób zostałem wciągnięty do nadprzyrodzonej „akcji" przywrócenia temu kościołowi Eucharystii. Że Ojcu zależało na tym, by wierni modlili się o powrót Syna. Ale to, co najbardziej mnie olśniło, to konkluzja, że ta Boża interwencja przywrócenia Eucharystii, której stałem się świadkiem, ten jeden fakt był dla mnie jednocześnie potwierdzeniem wszystkich innych prawd wiary. Oszałamiające! Jakże wszystko staje się wówczas proste! „Logiczne". A także: jeśli Niebo sygnalizuje, że Eucharystia jest tak ważna dla samego Nieba, to o ileż więcej jest Ona ważna dla nas. Od tego czasu jestem coraz bardziej przekonany, że źródłem wszelkich łask w moim życiu jest Eucharystia, że to Ona kształtuje mój byt i egzystencję. Chciałem na ten temat napisać artykuł, ale nasz spowiednik poradził mi, bym tylko tak do ucha moim przyjaciołom o tym wydarzeniu opowiadał.

Ja, z kolei, szepczę o tym do ucha moim przyjaciołom.

– 56 –

Dialog międzyreligijny

Moja mama wyszła ponownie za mąż. Józef Ruszycki był Rosjaninem i przybył do Brazylii tak jak my – *via* Niemcy. Z zawodu był inżynierem, ale też znał się na kuchni tak jak nikt. Kiedyś nawet próbował otworzyć restaurację, co mu się nie udało, ale za to my korzystaliśmy z jego talentu kulinarnego, kosztując rosyjskich przysmaków. Wszyscyśmy go bardzo kochali. Był gościnny, serdeczny, szczodry. Przez piętnaście lat budował dom po drugiej stronie zatoki Guanabara w dzielnicy São Francisco. W końcu zamieszkał tam z mamą i tam ich odwiedzaliśmy. W kontekście naszej rodziny wszystko sprzyjało dialogowi międzyreligijnemu. Jak już wspomniałem, mama i ciocia Lieschen były luterankami, mój tata katolikiem, Józio prawosławnym, a moja kuzynka przeszła na judaizm. Teraz brakowało nam tylko jeszcze jakiejś wiary bardziej na wschód, ale ponieważ miałem stryja, który twierdził, że Łychowscy pochodzą od… Dżyngis-chana, może to uzupełniłoby tę ostatnią lukę? A może istnieje też jakaś szansa odnalezienia przodków pochodzących z kraju „tysiąca i jednej nocy"? Nasz grób na Cemitério dos Ingleses (British Cemetery) siłą rzeczy też jest wielowyznaniowy. Prochy Tante Lieschen, która tak bardzo kochała Brazylię, sprowadziłem z Berlina do Rio i tam się kiedyś spotkamy. Jej ostatnie, prorocze słowa za życia brzmiały: *Wir müssen uns noch einmal sehen*. Mama po przeżyciu nie lada dramatycznych wydarzeń w Europie zakończyła żywot 16 marca 1974 roku, a Józio 3 kwietnia 1995 roku. Wiedli w Brazylii możliwie spokojne życie i też są tam pochowani. Prochy taty, jak już wspomniałem, sprowadziłem z Vassouras. Spoczywa tam także Janina Karczmar.

– 57 –
El hombre es un caminante

1995 – znamienny rok. Moja pierwsza po przeszło pięćdziesięciu latach podróż do Polski, a dla Krysi pierwsza w życiu.

> *Zdaje mi się, że ludzie* […]*, którzy powracają nie do domu, ale do kraju, aby zetknąć się z jego bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem* […][1].

Tak, człowiek jest pielgrzymem. Tak, podróż do Polski to o wiele więcej aniżeli przemierzenie radykalnych odległości, głębokich oceanów. To przede wszystkim spotkanie z tym bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem. Tak to ujął Conrad emigrant, a przedtem jeszcze Mickiewicz – też emigrant:

> *Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,*
> *Kto cię stracił...*

W Polsce wyjeżdżający za granicę obywatel wyrabia sobie paszport. Rzecz całkiem normalna i prozaiczna. Na emigracji po wielu, wielu latach emigrant trzyma w ręku paszport i głęboko to przeżywa. Dla niego to nie jest zwykły dokument. To symbol. Chociaż dla tych mniej romantycznych to rzecz wyłącznie pragmatyczna: możliwość znalezienia pracy w Unii Europejskiej, studia *et cetera*.

1 Joseph Conrad, *Lord Jim*, tom drugi, tłum. A. Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966.

Odnaleziona po latach rodzina – przyrodni brat Andrzej Łychowski

Czy pisząc swojego *Lorda Jima*, Conrad nie był bliżej Polski aniżeli Orzeszkowa, która tak brzydko się o nim wyrażała? Albo czy opisując polski krajobraz w *Panu Tadeuszu*, Mickiewicz nie widział go bardziej konkretnie aniżeli ten, który zawsze tam przebywał? Taka jest siła spojrzenia tęsknoty. Jej oczyma to, co dalekie, ukochane staje się bliskie. Obecne.

Z Krysią polecieliśmy najpierw do Londynu i tam zatrzymaliśmy się u jej kuzynki, też Krysi, i jej angielskiego męża, Petera. Odwiedziliśmy ciocię Marynę, siostrę Haty – mojej teściowej – i zachwycaliśmy się charak-

terystyczną angielską architekturą oraz *British way of life*. Anglia da się pokochać. Potem Warszawa, Kraków i Częstochowa. W pociągu do Częstochowy poznaliśmy czternastoletnią Anię Witczak, która wracała z obozu letniego. Wysiadła w Dąbrowie Górniczej i cała nasza rozmowa trwała nie więcej niż dwadzieścia minut. Od tego czasu Ania często do nas pisała i gdy byłem w Krakowie w 2008 roku, spotkaliśmy się na Rynku. W Sukiennicach zaś, podczas tego pierwszego powrotu do Kraju, poznałem amerykańską zakonnicę, dominikankę *sister Karen Marie* i to ona dokonała przeglądu wersji w języku angielskim *My way to the Moon*.

W Warszawie odwiedziliśmy kuzyna Krysi, Jurka Zollera, i Marylę, jego żonę. Przyjęli nas bardzo ser-

Moja bratanica, Dagmara, w dzień Pierwszej Komunii Świętej. Od prawej jej rodzice: Lidia i Andrzej; rodzice chrzestni: Kazimierz Mikułowski i Teresa Műnnich oraz brat Leszek

decznie. W Krakowie ugościła nas Krysia Piątkowska, koleżanka szkolna Haty (Anny) Schwarzówny, mojej teściowej. I tu, i tam mieliśmy wrażenie, że znamy się od wieków, że łączy nas bardzo serdeczna przyjaźń. Wspaniałe to uczucie, że również po drugiej stronie półkuli mamy rodzinę, mamy przyjaciół.

W powrotnej drodze pojechaliśmy do Berlina, by odwiedzić *Tante* Lieschen. Każde z tych miejsc to nie tylko „miejsce", każda z tych osób to nie tylko „osoba". I spotkania. Trwające nieraz bardzo krótko, ale głęboko zakotwiczone w nie-czasie. Być może właśnie dlatego jeden z moich tomików nosi tytuł *Spotkania*.

À propos nie-czasu, znowu mała dygresja. Podczas jednej z tych podróży do Polski zostałem zaproszony na kolację do państwa O'Rourków. Nie, to nie cudzoziemcy w Polsce, lecz… staropolska rodzina pochodzenia irlandzkiego. Przyjechał po mnie Stefan Potocki, syn Elżbiety i Antka. Stefan poza pracą zawodową zajmuje się literaturą i jest utalentowanym pisarzem. Wchodząc do domu gospodarzy, raptem odmłodniałem. Mimowolnie wyrwało mi się: „Elżbieto!". Nie, to nie „Świetlik" Elżbieta Radziwiłłówna (obecnie Potocka) stała przede mną, lecz jej córka, Inês, ale tak do niej podobna, że przez chwilę miałem wrażenie, że przybyłem na jeszcze jedno spotkanie naszego Koła. Tak to już jest, że jak ktoś dziś mnie pozna, prawdopodobnie pomyśli: „Ten starszy pan…"; zaś dla przyjaciół z młodych lat będę nadal tym, którego wówczas znali. To wcale niezły sposób na wieczną młodość…

John O'Rourke, mąż Inês, działał wówczas znacząco w pertraktacjach zmierzających do wprowadzenia Polski do UE. Obecnie Jan i Inês mieszkają w Brukseli.

Kolejne pielgrzymki do Polski zaczynałem zawsze od Częstochowy. To szczególne, bardzo szczególne „miejsce". W Brazylii takim miejscem jest nasza Aparecida. Byłem tam kilkakrotnie. W pamięci zostało mi zawierzenie, jakie często powtarzam: *Tudo em suas mãos!* (Wszystko w Twoich rękach!).

Warszawa jest moim miastem w Polsce, miastem odrodzonym, nad którym czuwa ten niezmienny, conradowski duch:

Na Raszyńskiej mieszkanie
W domu, który był
A potem nie był

Teraz jest
[…]
Nad nr 58
Unosi się Duch Domu
Zawsze tam był
Jest i będzie

Rio de Janeiro, natchnienie kilku moich obrazów, jest moim miastem w Brazylii. Kraków olśniewa, Zakopane jest magiczne, Lublin urokliwy, Sandomierz imponuje swą zaklętą ciszą. Toruń zaś jest nie z tego świata, bo Kopernikowi udało się przecież dotrzeć na księżyc przede mną… Rodrigo i ja byliśmy u niego w domu. To niesamowite, co Kopernikowi udało się zrealizować z tak prymitywnymi w tamtych czasach instrumentami astronomicznymi!

A może Pan Bóg mi zezwoli odwiedzić jeszcze inne zakątki Polski i w nich się zakochać?

– 58 –

Polak, Brazylijczyk czy Angolczyk?

Trudne pytanie? Nie, nietrudne! To przecież oczywiste, że jestem… Polakiem, Brazylijczykiem i Angolczykiem. W Brazylii tęsknię do Polski, w Polsce do Brazylii, a tu i tam – do Angoli. Ale to nie wszystko. Tęsknie też do… Niemiec. Moje serce jest związane z każdym miejscem tego Bożego świata, w którym spędziłem jakąś cząstkę mego życia. Gdy, na przykład, słyszę symfonię *Pastoralną* Beethovena, od razu widzę łąkę, jaką tylko raz w życiu widziałem w Niemczech. A gdy słyszę Szopena… a no właśnie! Moi czarnoskórzy rówieśnicy w Angoli nauczyli mnie piosenki, którą do dziś pamiętam. Słowa są podobno sprośne, ale kto je zrozumie?

Betam, betam, betam
Betam kalambam betam

Gdy kiedyś wrócę do Angoli, to się dowiem, i albo je przetłumaczę, albo może lepiej nie…

Ludzie, krajobrazy, muzyka, sztuka, tradycje – kontekst składający się z kalejdoskopicznych światełek, wrażeń, doświadczeń – wszystko wdziera się do naszej świadomości i tam się zakotwicza. Narodowościowo jestem metysem. W moich żyłach krąży krew, która jest wierna wszystkim tym zakątkom świata. Ale bez rozdwojenia, autentycznym jestem chyba tylko Polakiem. Dlatego wyobrażam sobie Niebo jako jedyną ojczyznę duszy ludzkiej. W sercu zaś jest miejsce dla wszystkich i dla wszystkiego z tego świata. W Niebie zresztą też…

Im bardziej szukam Brazylii
tym bardziej odkrywam Polskę
i odwrotnie

Przemawia ziemia i duch,
który w niej mieszka

Wiśnie i mango
brzoza i guatambu
dziecko jasnowłose i wnuk
curumim

Tak naprawdę
czuję się Polakiem
Brazylijczykiem
gdy człowiek
pokazuje swe ludzkie oblicze
gdy przekracza próg
siebie samego
gdy do mnie wyciąga swą rękę

Tam, gdzie człowiek pokazuje swe ludzkie oblicze, gdzie jest gotów przekroczyć próg siebie samego i do mnie wyciągnąć swą rękę – a ja do niego – czyż nie właśnie tam jest ziemia obiecana?

– 59 –
Teraz: jutro

75 lat życia. Trzy kwartały stulecia. Czas na bilans. Pora opuścić pociąg i tęsknie popatrzeć, jak się oddala i znowu zatrzymuje na następnej stacji, by pozwolić innym

wysiąść. Teraz widać już tylko błyszczące szyny, które wiodą, które wiodą…

Nie! Nie! Dopiero teraz wszystko się zaczyna! Projekty! Plany! Anny-Claude Basset tłumaczy *Skrzydła* na francuski. Graham Connell na angielski. Młoda, zdolna brazylijska powieściopisarka Manoela Sawitzki organizuje wybór wierszy. Wydawca? To drobiazg. Marzenia? Tak, marzenia! Jestem tak zajęty, że na nic nie mam czasu. Zawsze coś się dzieje. Nasza przyjaciółka Mademoiselle Raymonde Vasconcellos wkrótce znowu zaprosi nas na swoje urodziny. A przedtem będzie jeszcze huczny jubileusz Marii das Dores Mendes David. Jej syn, Syllas, który studiował filozofię, pomagał mi w tłumaczeniu Kołakowskiego. Bardzo obie panie lubimy. Kiedy Raymonde do nas dzwoni, staram się mówić z nią po francusku. Ona jeszcze udziela lekcji francuskiego i kultury francuskiej. Kiedy miała 95 lat, przyszła na wystawę moich obrazów. Co jej kupimy na urodziny? Niełatwa sprawa. Jak skończyła 100 lat i miała promocję swej książki, to nie było problemu. Następne 101 lat, 102 lata, 103 lata, 104 lata – też nie. Ale teraz na 105 lat? Raymonde stara się nas przekonać, że wystarczy, jak przyjdziemy. Bardzo pragnie tego spotkania. A Krysia tłumaczy jej żelazną dyspozycję i animusz tym, że Mademoiselle nie wyszła za mąż…

Poszliśmy! Byliśmy obecni! A ja nawet zaimprowizowałem jej wiersz:

Jak ktoś nam mówi:
„Toujours! Toujours!"
Czujemy smak wieczności

Jak Raymonde to nam mówi
To „Toujours"
Staje się wiecznie obecnym
Teraz

*

Ja też będę bardzo zadowolony, jak przyjdziecie na moje 105 lat. Wystarczy…

A co można by teraz powiedzieć? Gdy minęło już przeszło 10 lat i te 105 są coraz bliższe?

– 60 –
Wolność

Życie układa się raz łatwo, a raz trudno? Czasami bardzo trudno? „Nic to!" – mawiał pan Wołodyjowski, a teraz mawia mój najnowszy przyjaciel:

Było to daleko stąd, na pewnej farmie. Któregoś dnia osioł farmera wpadł do głębokiej studni. Zwierzę krzyczało żałośnie godzinami, podczas gdy farmer zastanawiał się, co zrobić. W końcu farmer zdecydował. Zwierzę było stare, a studnię i tak trzeba było zasypać. Nie warto było wyciągać z niej osła. Zwołał wszystkich swoich sąsiadów do pomocy. Wzięli łopaty i zaczęli zasypywać studnię śmieciami i ziemią. Z początku osioł zorientował się, co się dzieje, i zaczął krzyczeć przerażony. Nagle, ku zdumieniu wszystkich, uspokoił się. Kilka łopat później farmer zajrzał do studni. Zdumiał się tym, co zobaczył. Za każdym razem, gdy kolejna porcja śmieci spadała na ośli grzbiet, on otrząsał się i wspinał o krok ku górze. W miarę jak

sąsiedzi farmera sypali śmieci i ziemię na zwierzę, ono otrzepywało się i wspinało o kolejny krok. Niebawem wszyscy ze zdumieniem zobaczyli, jak osioł przeskakuje krawędź studni i szczęśliwy oddala się truchtem. Sposób, aby wydostać się z dołka, to otrząsnąć się i zrobić krok w górę. Każdy z naszych kłopotów to jeden stopień ku wolności.

(Opowiadanie anonimowe, zasłyszane).

– 61 –
Na srebrnym globie

To tytuł książki Jerzego Żuławskiego, jaką podarował mi tata na moje piętnaste urodziny. Wyprawa na Księżyc! Cudem kupił ją w Rio. Jak się tam znalazła? Poprzeczkę tata ustawił bardzo wysoko, a ja staram się dotrzymać mu kroku. Trudna będzie ta moja droga na księżyc. Potykam się często, ale *nunc coepi*! Po każdym potknięciu zaczynam od nowa.

Tata umarł 19 lutego 1950 roku, kilka miesięcy po moich piętnastych urodzinach, ale nigdy nie przestał być obecny w moim życiu.

Memu synowi w dniu jego piętnastych urodzin, z życzeniem, by prawością charakteru, stanowczością postępowania i polotem myśli, starał się dorównać najlepszym polskim wzorom.
Secretário, 26 września 1949

– 62 –
Skrzydła

Brazylia przyjęła nas bardzo serdecznie. Brazylijczycy to życzliwy, uczynny, gościnny naród.

A teraz na stare lata ciągnie mnie do Angoli, ciągnie mnie do Polski, a w Polsce tęsknię za Brazylią. Kocham każde miejsce na tym świecie, na którym pozostał już na zawsze jakiś skrawek mego życia. I dlatego znowu otwieram skrzydła, by wszystkim za wszystko z całego serca podziękować.

(*Fragment przemówienia z okazji promocji* Skrzydeł/Asas *w 2008 roku).*

75 lat! A potem: 80. A jeszcze później: 85! Czas! Czas, który do tej pory był czasem „normalnym". Każde pięć lat przeleciało jak jeden tydzień, może trochę więcej, ale nie jak teraz, gdy każdy dzień jarzy się wiekami. Śmiertelnością i nieśmiertelnością. Owszem, wydarzyło się przedtem bardzo wiele, zmieniło, pogorszyło, polepszyło. Były chwile wysokiego napięcia, strat i smutku, radości i żałoby. To była jednak inna kategoria czasu. Czas ludzkiego, zwykłego bytowania. Dziś, jutro, pojutrze.

W dzieciństwie bywa dokładnie odwrotnie niż w starości. Każdy nowy dzień trwa lata, każdy rok trwa wieki. Ten rytm czasu dzieciństwa i starości zastąpiło teraz całkiem nowe zjawisko.

Obecnie czas to lecący tysiącami kilometrów na sekundę inny wymiar. W jednej minucie przeżywamy nie upływ czasu, lecz to, co w tej sekundzie on dla nas znaczy.

I być może po raz pierwszy zdajemy sobie z tego sprawę. On do nas kieruje wyzwanie: zdążyć!

Jeden dzień więcej?
Jeden dzień mniej
Żyjesz?
To jeszcze jeden dzień!

W pewnym sensie, życie, które zaczęło się po 85 latach i kroczy do 90, ma jakiś specjalny urok.

Jesteśmy w naszym polskim kościółku. Dziękuje Panu Bogu za 80 lat długiego życia. Za wszystko i za wszystkich. Aż tak daleko zawędrowałem? Zdumienie! Trudno w to uwierzyć. Gdy około czterdziestki wytypowałem sobie kres bytowania, wydawało mi się, że 66 lat to bardzo wiele. Aż tak długo będę żył? Aż do tak odległej starości?

Na mszy św. były obecne „Świetliki": Henio i Marysia z Kanady, Hanka Auderska z USA, Jacek Chmielewski z São Vicente, Ewa Grzybowska, Helena Warżynska, Babetka Fedlhuzen i Jan Wieniewicz z Rio de Janeiro. Oraz oczywiście całe grono przyjaciół, mieszkających w najpiękniejszym mieście na świecie.

Jesteśmy w naszym polskim kościółku. Dziękuje Panu Bogu za te 85 lat długiego życia…

Z punktu widzenia poezji, ale przede wszystkim z punktu widzenia egzystencjalnego, to podążanie od 85 do… nabrało szczególnej treści.

Jak już wspomniałem, Graham Connell wprowadził mnie do literatury angielskiej. Stało się to pod koniec ubiegłego stulecia. Miałem już wówczas przeszło sześćdziesiąt lat. Wiersze były raz lepsze, raz gorsze. *Uneven*,

mawiał Graham. Jednak, aby mnie nie zniechęcić, dodawał: *someone who is emotionally alive*.

This private Babel
This linguistic rootlessness
Contributed to the dramatic choice

I became an English poet

Prywatna wieża Babel! Bo przecież pierwszy tomik *Mój Parnas* (wydrukowany na firmowym powielaczu), był pisany po polsku. A następnie były wiersze pisane po portugalsku. Po niemiecku też już coś się raz wydarzyło.

A life

for Graham Connell

Of told and untold stories
Of secrets shared and not shared
Of memories
Of finding and not finding answers
Of guilt and forgiveness
Of redemption
Of visions and utter blindness
Of words that mattered
Of crossroads and narrow mountain paths
Of pain and solace
Of wide horizons and prison cells
Of whispers and yells
Of hate and tenderness
Of defiance and obedience

Till one day, a knock on the door
An open heart
Truth, wholeness
Joy

Z kolei tym, który poprowadził mnie po ścieżkach poezji polskiej w Brazylii, był (i jest!) Henryk Siewierski. Były to początki XXI wieku. Wspólnie tłumaczyliśmy między innymi *Tryptyk rzymski* Jana Pawła II na portugalski. Mój poetycki przewodnik zaprowadził mnie po stromej drodze aż do Polski. Droga była wyboista i bez przyjaznej ręki Henryka nie odważyłbym się tego zrobić. Wstęp do *Brisas/Powiewy*, pierwszego tomiku portugalsko-polskiego, napisał Henryk.

I tak, być w Polsce, nie będąc tam, jest całkiem możliwe. Przez słowo.

Być w Brazylii, również. Moja znajomość z Markiem Lucchesim zaczęła się od lektury czasopisma „Poesia Sempre", wydawanego przez Bibliotekę Narodową Brazylii, pod redakcją Marca. W 2008 roku „Poesia Sempre" została wydana dzięki staraniom Henryka Siewierskiego ze szczególnym wyróżnieniem dla poezji polskiej. Kilku naszych czołowych poetów, takich jak Różewicz, Herbert, Miłosz, Szymborska, w pięknym wydaniu i ze znakomitymi przekładami to ważny przyczynek do obecności poezji polskiej w Brazylii.

Kilka lat później udałem się na odczyt Marca i po zakończeniu, w trwającej zaledwie kilka minut rozmowie ofiarowałem mu mój pamiętnik. Jakiś czas później zaproponował mi, bym przetłumaczył wiersze kilku współczesnych poetów polskich dla czasopisma „Revista Brasileira ABL" (Brazylijskiej Akademii Literatury). W tym miejscu

należy powiedzieć kilka słów o Marcu Lucchesim i o tym, czym się on zajmuje. Marco był jednym z najmłodszych w historii ABL przewodniczących tej instytucji, założonej przez Machada de Assis. Poeta, pisarz, tłumacz, profesor, ma specjalny sentyment dla języka polskiego. Cytuje, co napisał, wspominając kilku polskich poetów: „…wszyscy w tym słowiańskim rejestrze językowym… pięknym, natchnionym językiem". Marco zajmuje się również pracą społeczną, promując czytelnictwo wśród więźniów.

Poeta wierzy

Marcowi Lucchesiemu

Poeta jest
anteną świata
spojrzeniem świata
echem
wszędzie węszy wiersz

Poeta jest
sercem
swobodą
łkaniem
smutkiem
łzą świata

Ale nie jego sumieniem

Poeta
wierzy
szuka swej prawdy
i ostatecznie nią się staje

Z Piotrem Kilanowskim tłumaczyliśmy znakomite wiersze Marca, które ukazały się w rzeszowskiej „Frazie" w 2020 roku. Opublikowano tam również moje wiersze, natomiast z kontaktu i z przyjaźni z Anną Jamrozek-Sową, jedną z redaktorów „Frazy", powstał projekt wydania *Bramy/O portão*. Ania zajęła się redakcją tomiku. Ogromnie mi pomogła, wiele jej zawdzięczam!

A teraz, jak już wspomniałem, idzie do pieca następny tom wierszy: *Arka Noego*. Czy tytuł ten to znak naszych burzliwych czasów? A może raczej wyczekiwanie gołębia z listkiem nadziei?

W obecnym kontekście wyraz „słowo" powtarza się dość często. Taki też był tytuł mojego eseju, który Marco opublikował w *Revista Brasileira.* Bo…

Słowo

Henrykowi Siewierskiemu

Teraz gdy już nie możemy podać ręki
Uścinąć komuś dłoni
Mocno, lekko, uczuciowo
Doznać jej ciepła, żarliwości
Coś wyznać, wyjawić
Marzenie, sekret, byt

Teraz
Gdy objęcie, uścisk
To pamięć dawnych czasów
Nieustająca nadzieja jakiegoś jutra
Pocałunek, który nam się śni
Nam najbliżsi – ja i ty

Teraz
Nadszedł czas na słowo
Tak potężne
Że to, co nieraz było tylko cielesne
Jest jeszcze bardziej tym
Czego pragniemy by było
I w pełni nim się staje

Teraz
Uścisk-słowo
Pocałunek-słowo
Dotyk-słowo
Krwiste, żywiołowe
Uporczywe, epifaniczne

Słowo, twarzą każdej osoby, twarzą narodu, twarzą wytrwania, twarzą ziemi żywicielki! Słowo-oblicze.

Spełnienie! Spełnienie, które – zawsze i wszędzie – zawdzięczam ludzkiej, otwartej bramie. Czeka na mnie otwarta w Polsce. Jest dla mnie otwarta w Brazylii. Nawet gdy kiedyś przez pewien czas była zamknięta, ktoś nam ją zawsze otworzył.

Brama

To było dawno temu...
W zaryglowanej celi dwadzieścia sześć osób
Dwadzieścia pięć kobiet, jedno dziecko
Dawno temu...
Spacer więźniów jak u Van Gogha
Wśród dorosłych, mały chłopczyk
Głód, niewiadoma jutra
Eksplodujące bomby

I lęk
Ogromny, mrożący, wszechobecny
Aż pewnego dnia otworzyła się brama Pawiaka
Za bramą nie wszystko, ale prawie wszystko

Teraz też tak będzie
Otworzy się brama
Wyjdziemy na wolność

Tak było
Tak będzie

– 63 –
POSTSCRIPTUM

Pamięć. Wyjazd o dziewiątej rano ze stacji autobusowej Novo Rio. Kierunek: Vassouras. Czas podróży: po blisko sześćdziesięciu latach. Po drodze: Paracambi, Paulo de Frontin i inne już prawie zapomniane miejsca. Autobus wspina się pod górę. Staram się przypomnieć sobie zakręt na szosie, rzekę, zaporę. Tak, jeszcze tam są! Przejeżdżając przez kolejne miejscowości, spostrzegam tę typową pudełkową architekturę, a od czasu do czasu dusza raduje się urokiem kolonialnego dworku.

Z nowej stacji autobusowej w Vassouras biorę taksówkę do Casa Sagrado Coração de Jesus. Dom spokojnej starości znajduje się w wyższej części Vassouras i stamtąd widać dachy i ogrody kilku domów zabytkowych, a także większość nowoczesnych. Zakonnica otwiera bramę. Już jest w podeszłym wieku i gdy się jej pytam, ile sióstr tam mieszka, ma wyraźne wątpliwości. Opowiada mi,

Siostra Paulina – 2013 r.

skąd się wzięła nazwa „Vassouras". Była o tym książka, ale książki już nie ma.

Siostra Paulina siedzi na kanapie. Jest zimno i okryto ją kocem. Jej oczy mi mówią, że mnie poznaje. „Jak się masz?", pyta się. Obejmuję tę, która była moją szefową w moim pierwszym zatrudnieniu w 1950 roku. Miałem wówczas piętnaście lat. Bardziej niż szefem była moim aniołem – tą, którą Pan Bóg mi zesłał, bym Go mógł kiedyś na nowo spotkać.

Siostra Maria oprowadza mnie po domu. Wszystko czyściutkie, uporządkowane, przytulne. W kaplicy Najświętszy Sakrament. W jednym z pokoi leży siostra, która już nie jest w stanie się poruszać. Jest przytomna i uśmiecha się. Jej kości są już zbyt kruche, tłumaczy sio-

stra Maria. Słychać dzwon. Pora obiadowa. Siadam przy stole z siostrą Marią, z siostrą Pauliną i z siostrą Reginą, która przedtem była przełożoną tego zakonu. Siostra Paulina siedzi wyprostowana ze swoimi 101 latami życia. To dzień jej urodzin, 15 sierpnia. Siostra Maria podaje siostrze Paulinie lekarstwo, pilnuje, by danie nie wypadło z talerza. Siostra Paulina je samodzielnie, milcząco, ale z tym tak żywym spojrzeniem, które nam mówi: „żyję!". Czas słowa przeminął, teraz cisza za nią przemawia.

Po deserze śpiewam „Sto lat!". Siostrzyczki zdumione. Raptem słyszą dźwięki tego egzotycznego języka! Pełnego spółgłosek, syczących nut. W tym ogromnym domu, pełnym spokoju i ciszy, bramie wieczności, pieśń przerywa rytm powszedniości, dnia po dniu.

Jest tam też siostra Irena – pracowaliśmy razem w szpitalu w Vassouras: siostra Paulina, siostra Irena i ja. Siostra Maria mi oznajmia, że siostra Irena ma alzheimera. Już na nic nie reaguje. Ale siostra Maria próbuje coś w niej wzbudzić. Pamiętasz Tomasza? Razem pracowaliście w szpitalu. Siostra Irena patrzy na mnie, nie widząc. Obejmuję ją. „Pamiętasz mnie?" Lekki uśmiech? Czyżby coś pamiętała?

Żegnam się i siostry mnie odprowadzają: siostra Paulina (ze swymi 101 latami!), siostra Maria, siostra przełożona i dołącza do nas też siostra Irena. Machają do mnie. Co jakiś czas się odwracam. Jeszcze do mnie machają. Ostatnia, która do mnie macha, to siostra Irena. Nie chcę, nie mogę tego zapomnieć. Właśnie ona, bez pamięci (?). Kto rzeczywiście wie, co się wydarza w umysłach tych, którzy jeszcze z nami są, a już ich z nami nie ma? A może jednak?

Siostra furtianka tego domu starości znowu mnie odprowadza. Jeszcze raz mi opowiada, skąd się wzięła

nazwa „Vassouras". Była o tym książka, ale książki już nie ma.

Schodzę do centrum miasta. Naprzeciwko, na wzgórzu, widać kościół. Tam podążam ulicą, której nawierzchnia pochodzi z XIX wieku. Od ulicy u dołu aż tam na górę rozprzestrzenia się ogród, a w jego centrum stoi fontanna. Dookoła fontanny, w połowie ubiegłego stulecia, spacerowały panienki, a my je podziwialiśmy. Ten kontakt osobisty i wzrokowy zastąpił w wieku XXI Facebook i teraz panienki już nie spacerują w tym ogrodzie. Gdzie się podziały? Gdzie są panienki?

Po drodze, trochę wyżej, mieścił się salon snookerowy. Teraz jest tam restauracja. Zaglądam, starając sobie przypomnieć stoły snookerowe, kije i wymarzoną kulę 7, i tę ogromną pasję gry. Dania wydają się dostępne w cenie. Wspinam się dalej pod górę. Przed jednym z domów siedzi mężczyzna, nagły impuls i pytam go: „Kiedy zamknęli ten lokal snookerowy?". Mężczyzna się uśmiecha. Dawno, dawno temu.

Po drugiej stronie ogrodu było kino, w którym odbywały się *matinés*, popołudniowe sesje filmowe. Pewnego dnia wybraliśmy się do tego kina z tatą. Pojechaliśmy starym fordem, rocznik 1929. Z fermy Secretário do Vassouras trwało to mniej więcej pół godziny. Z filmu już nic nie pamiętam. Ale mam żywo w pamięci tę wspólną wyprawę. To bycie razem z moim ojcem.

Dotarłem do kościoła. Jest otwarty. Jest dobrze zachowany. Na przodzie siedzi w ławkach grupa młodzieży. Rozmawiają. Z boku widzę dużą, otwartą księgę darów. Z apelem o dary na konserwację. Ale wydaje się, że większość odwiedzających nie zrozumiała, o co chodzi, i podpisuje się jak w księdze gości. Księga zapoczątkowana

w 2006 roku. Widnieją tam nawet podpisy cudzoziemców. Jeden z nich wpisał: „Spain". Kieruję wzrok do góry. Tam śpiewałem w chórze kościelnym. Chodziłem na mszę św., jeszcze nie będąc katolikiem. Zresztą kilka lat przedtem, mieszkając w Niemczech, też chodziłem na mszę św. Kilka z tych pieśni kościelnych, które tam śpiewaliśmy, pamiętam do dziś. Jak je słyszę w Rio, przypominam sobie czasy spędzone w Vassouras. Żonę aptekarza, która była Niemką i mnie zaprosiła do chóru. I jej męża, który z pochodzenia był Francuzem. Podpisuję księgę i podaję datę: 15 sierpnia 2013 r.

Po wyjściu z kościoła idę ulicą wyłożoną nierównymi kamieniami, które pamiętają czasy niewolnictwa, i z nie mniej starymi drzewami po każdej stronie. Widzę dom, w którym mieszkałem. I jeszcze inny. Trochę dalej szukam zakładu pogrzebowego, który znajdował się w pobliżu cmentarza, tego bardziej okazałego. Murilo, syn właściciela zakładu, był moim kolegą. Zakładu już nie ma.

Inną drogą schodzę do centrum miasta i teraz jestem z powrotem w zgiełku nowoczesnej części Vassouras. Stara część już została w tyle. Wszędzie widać budynki z lat 40., ale także powstałe później, w tym „pudełkowym" stylu. Styl nowoczesny przeważył nad stylem kolonialnym. Stare kolonialne kamienice stopniowo się zawalają. Gdzież, w końcu, mieścił się pałacyk Barona?

Ile pokoleń musiałoby powrócić w czasie, bym mógł kogoś rozpoznać wśród tych przechodniów albo by być przez kogoś rozpoznany? Teraz to, co jest nam wspólne, to nie czas, ale miejsce. Czy tylko miejsce uratuje nam czas?

W centrum miasta przypomniałem sobie Santinha. Nigdy nie dowiedziałem się, jak mu jest naprawdę na imię. Był szoferem na fermie Secretário, na której zmarł mój tata.

Byliśmy zaprzyjaźnieni. Mój Ojciec bodajże popierał jego zamiary zawarcia małżeństwa. Podobno ktoś z rodziny się sprzeciwiał. O tym wiem tylko z zasłyszenia. Miałem wówczas piętnaście lat, a Santinho dwadzieścia pięć. W tym wieku wszystko wydaje się odległe albo bardzo bliskie. Tak jak śmierć mego taty. Jakiś czas potem znowu spotkałem Santinha. Był właścicielem baru w śródmieściu. Już był żonaty i miał dzieci. Szczęśliwy i zrealizowany.

Udałem się do baru. Teraz nosi nazwę bar „Alfredo Gomes Leal". Barman przypomina mi Santinha. Może to jego syn? Pytam się o niego. Teraz właścicielem jest syn Santinha, wyjaśnia. Zaraz tu będzie. Rzeczywiście, wkrótce potem Alfred się zjawił. To ty jesteś synem Santinha! Przedstawiam się i mówię mu, że to dla mnie wielka radość poznać syna mego przyjaciela. Alfred patrzy na mnie jak ktoś, kto sobie myśli: „Kto to? A po co tu przyszedł?". „Jak to dobrze, jak dobrze", mówię mu i żegnam się. Szczęśliwy. Co za dzień!

Następny etap tej podróży do *temps retrouvé* to szpital Eufrásia Teixeira Leite. Tam zostałem zatrudniony w wieku piętnastu lat. Wdaję się w pogawędkę z szoferem. Mieszka w Vassouras od ósmego roku życia. Bardzo mu się tu podoba. Jest żonaty i ma dzieci. Teraz szpital remontują, mówi. Są tu świetni lekarze, dodaje. Jedziemy pod górkę przez Madrugę i skręcamy w lewo. Wjeżdżamy w aleją palmową. Tak jak za dawnych lat. W tej alei pewnego dnia umówiłem się z dziewczyną. Miała długie warkocze. Stała opierając się o drzewo palmowe. W wyobraźni nadal ją tam widzę.

Budynek szpitalny wydaje się teraz o wiele mniejszy. Czas na krótką dygresję. Jedna z moich młodzieńczych przygód wiąże się z tym właśnie szpitalem. Po przepro-

wadzeniu się do Rio de Janeiro wielokrotnie tam wracałem, tak jak ktoś wraca do miejsca swojego zakotwiczenia. W Rio wszystko wydawało mi się obce, nieznane. Czułem potrzebę oparcia się o coś, co przedtem było częścią stabilną mej egzystencji. Na ogół byłem zapraszany do przyjaciół, ale wówczas okazało się, że nie jest to możliwe. A z pieniędzmi było bardzo krucho. Rozpacz? Tylko przez krótką chwilę. Pojechałem autobusem do szpitala i oznajmiłem moim byłym kolegom, którzy akurat mieli porę obiadową, że obecnie jestem fotografem. Kto chce się sfotografować? Kosztuje zaledwie… *cruzeiros*. Potem każdemu z nich wysłałem zdjęcia pocztą. Miasto Vassouras jeszcze raz nie odmówiło mi swej pomocy. Nie musiałem nocować na ławce w parku. A jednym z tych zdjęć, które do dziś przetrwało, jest to z dziewczyną z długimi warkoczami.

Wyjeżdżając z drugiej strony szpitala, wjechaliśmy na ulicę, która niegdyś nazywała się ulicą Grzechu, a potem zmieniono nazwę na ulicę Odkupienia. Jedziemy teraz w kierunku cmentarza biedniejszego. Tam pochowali mego tatę. Wiele lat później sprowadziłem jego prochy na Cmentarz Anglików w Rio de Janeiro. Gdy zginął w wypadku Luiz, syn Mãe Quinhas, pytali mnie, czy zezwoliłbym, by go pochowali w tym już pustym grobie w Vassouras. Portugalska rodzina Coelho bardzo solidarnie nam pomagała w odległej teraz już przeszłości w Angoli, a więc była to dla mnie okazja, by choć częściowo im się odwdzięczyć. Poprosiłem szofera, by na mnie poczekał. Odnalazłem grób. Wyglądał na opuszczony. Rodzina Coelho prawdopodobnie rozjechała się po całej Brazylii. Mãe Quinhas też zmarła w Vassouras i zapewne także tam spoczywa. Wracając do śródmieścia, zapytałem szofera, czy Ginásio de Vassouras jeszcze

istnieje. Podobno istnieje, ale inaczej teraz się nazywa. Przez jakiś czas tam pracowałem i dyrektorka, p. Maria, zezwalała mi od czasu do czasu być obecnym na jej lekcji francuskiego. *On revient toujours à ses premières amours.*

Po drodze do stacji autobusowej mogłem się naocznie przekonać, jak ogromny postęp nastąpił w Vassouras w przeciągu minionych lat. Obok agonizujących, a niegdyś wspaniałych pałacyków z czasów bonanzy plantacji kawy, powstają nowoczesne budowle. Fakultet Medycyny przyciąga wielu studentów z sąsiednich miast, a nawet z Rio. Wśród nich może właśnie są ci młodzi, których widziałem w kościele. Teraz czekają na autobus, który ich zawiezie do domu. Niektórzy z nich jeszcze w białych studenckich fartuchach.

Ja też czekałem na autobus powrotny do mego miasta. Przedtem kilkakrotnie byłem w Vassouras, ale tylko przejazdem. Czasami z rodziną, czasami sam, ale zawsze były to wizyty wyłącznie przelotne. Tym razem było to: ty i ja. Ja i miasto. Ja i czas. Wizyta „holistyczna", wiążąca miejsca i czas. Z całą pewnością podróż wynagradzająca. Regenerująca. Wszechstronna. Po takiej podróży odradzamy się. Przeszłość i teraźniejszość, sygnalizowane w geście machających zakonnic, w ich *adieu*. Zwłaszcza tej, która już nie nic pamięta (?). Pamięć. Jej tajemnice.

Sierpień 2013

– 64 –
Ukraina

Trudno byłoby mi sobie wyobrazić, że ponownie przekroczę tę samą rzekę w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Że w ten sposób Heraklit mógłby, kto

wie, zweryfikować swą sławną sentencję. Wspomnienia najazdu Hitlera na Polskę stają mi się raptem bardzo aktualne. Lęk, okrucieństwo, rozłąki, cała gama zła, ale także dobra. Solidarności. Dzielenie się chlebem i modlitwą. Świst spadających bomb. Egzekucje cywilów na ulicach Warszawy.

Ktoś mógłby zauważyć, że ja, człowiek wolny i mieszkający w bezpiecznym Rio de Janeiro, daleko od Ukrainy, nie jestem w stanie ponownie przeżywać tego, co niegdyś przeżywałem podczas wojny. Jeśli chodzi tylko powrót do wspomnień, być może. Ale tu nie chodzi jedynie o ewokację tego, co minęło. Jest w tym coś bardziej potężnego niż reminiscencje. Bliźni stają mi się potężnie bliscy. Z nimi się identyfikuję. Ja, Polak, Brazylijczyk jestem także Ukraińcem. Jestem tam z nim i z nim przeżywam tę tragedię, która *da capo* się powtarza. Tragedię, która jest także moją tragedią. Która sprawia, że prawdziwie i osobliwie staję się bratem mojego brata.

06.04.2022

Tomasz Łychowski urodził się w Angoli w 1934 roku. Cztery lata później wraz z rodzicami, Gertrudą z domu Seefeld oraz Tadeuszem, wyjechali do Europy. II wojna światowa zastała ich w Warszawie, gdzie rodzice zaangażowali się w działalność konspiracyjną. W 1948 roku jako dipisi opuścili Europę i osiedlili się w Brazylii. Rio de Janeiro stało się miejscem stałego zamieszkania poety. Ukończył tam studia anglistyczne, angażował się w działalność polityczną i społeczną na rzecz Polonii, malował i uprawiał poezję. Pisał w języku portugalskim, polskim i angielskim. Jego tomy poetyckie oraz autobiografia publikowane były w Brazylii i Polsce.

Biografia Tomasza Łychowskiego, podobnie jak biografie wielu innych migrantów, jest zaskakująca, niezwyczajna. Z jej materii autor, zainspirowany prośbą syna Rafaela, najmłodszego z czworga dzieci, ukształtował opowieść o swojej wielokulturowej tożsamości. Książka przyjmuje postać ciągu asocjacji, epizodów, fragmentów. Łychowski tworzy „witraż", „album", „układankę", które to określenia najtrafniej chyba oddają istotę konstrukcji dzieła. W narrację o sobie wplata opowieści i dygresje, najczęściej uporządkowane chronologicznie, dotyczące jego najbliższych, grona przyjaciół i znajomych, ludzi niezwyczajnych, których wielu spotkał na swojej drodze, miejsc autobiograficznych, aktywności zawodowej, polonijnej, politycznej i artystycznej.

BIBLIOTEKA IBERYJSKA

Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego
WARSZAWA

ISIiL Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego